

ANTOLOGJA WSPÓŁCZESNEJ POEZJI POLSKIEJ



EDWARD SŁOŃSKI



BIBLIOTEKA
PRUS-WIŚNIEWSKICH

425.



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 10, 20 i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁĄŻEWSKI*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie (9 tomów).		4 zł. 70 gr.
Półrocznie (18 „).		9 „ 40 „
Rocznie (36 „).		18 „ 50 „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedynczego 80 gr.

ROK II
TOM XLV

BIBLIOTEKA
PRUS-WISNIEWSKICH

425
ANTOLOGJA

WSPÓŁCZESNEJ

POEZJI POLSKIEJ

Zebrał i wstępem opatrzył
EDWARD SŁOŃSKI



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

6



CM 314941



Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr *170* /2011/ *CM*

P R Z E D M O W A

— Żyjemy i żyć będziemy! — wołała w końcu XIX stulecia Młoda Polska, wznosząc pod bacznem okiem najeźdźców świątynię czystej sztuki. I, jak pieśń walki bohaterskiej, brzmiała, urodzona w domu niewoli — pieśń, aż rozkwitła w końcu wspnianym purpurowym kwiatem poezji legjonowej.

To było tak niedawno, a dziś już Młoda Polska należy do przeszłości i stanowi zamknięty w sobie okres, który wzbogacił kulturę polską, bezlitośnie tępiącą i prześladowaną przez zaborców. Młoda Polska stała na straży tej kultury, wielkie jej serce biło, jak dzwon, żeby wszyscy wiedzieli, że jeszcze Polska nie zginęła!

Autorzy, których najbardziej charakterystyczne utwory zawiera ta antologia, są tego okresu przedstawicielami i twórcami. Sądzę, że wielu z nich w Polsce odrodzonej i wolnej, wyszedłszy z neoromantyzmu, stworzy nowy kierunek, bardziej do warunków nowego życia politycznego dostosowany, i odnajdzie w sobie nowy ton dla pieśni nowej, która już nie będzie wołała na cały świat: „żyjemy i żyć będziemy”, bo za nią czynią to już nasze ministerstwo i nasze bagnety.

~ Zanim jednak wystrzeli ta nowa pieśń, niech ta książeczka
daje świadectwo temu bujnemu rozkwitowi poezji Młodej Pol-
ski, który w większym stopniu, niż przypuszczamy, przyczynił
się do wskrzeszenia Polski.

EDWARD SŁOŃSKI.

Warszawa, 15 lutego 1926 r.

BOGUSŁAW ADAMOWICZ.

Ur. 1870 r. w Mińsku.

UKOŁYSANA.

Powiew poranku po nocy marzenia
Coraz to tęskniej i pieści i chłodzi,
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia,
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej...

Coraz to rzewniej czar do snu ją kłoni,
Coraz to mgliściej jej oko się mruży...
Coraz to tkliwiej drży uścisk jej dłoni —
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej — jej główka zmęczona,
Coraz to śmielej na pierś mą się tuli,
Coraz to ufniej się garnie w ramiona,
Coraz to czulej, i czulej, i czulej...

Coraz to rzewniej, i tęskniej, i sennie,
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...
Coraz pogodniej, spokojniej, promiennie,
Coraz to ciszej, i ciszej, i ciszej...



BOY (TAD. ŻELEŃSKI).

Ur. 1875 r. w Krakowie.

MARKIZA.

Jadwidze Mrozowskiej.

Z odległej kędyś krainy,
Z wieków, co dawno przebrzmiały,
Przyszłam do was w odwiedziny,
W rynsztunku mej dawnej chwały.

Obca tu jestem: więc stoję
Nieśmiało oto i skromnie —
Czy z was mnie który poznaje?
Mówcie, czy kiedy śnił o mnie?

Czym może kiedy, czasami,
Z kartek pożółkłej gdzieś książki,
Wykwitła nagle przed wami,
Strojna w róż, muszki i wstążki?

Jam jest Markiza: ta sama,
Znana wam z dawnych powieści,
Ideał — kochanka, dama,
Co razem gardzi i pieści...

Co razem nęci i kusi,
W powabne iskrząc się błędy,
To znów w snach dławi i dusi
Zmorą straszliwej legendy;

Ja, której kaprys korony
Królewskie deptał tą nóżką,
A czasem znowu, szalony,
Paziów przygarniał w me łóżko;

W pochlebstwie od miodu słodsza,
W szyderstwie jak pocisk prędką,
W pieszczocie od bluszczu wiotsza.
To, jak stal, ostra i giętka, —

Ja, której miłosny zakon
Wcielil do kunsztów swych ciemnych
Trucizny subtelnej flakon
I sztylet zbirów najemnych, —

Ja, co drobniuchną mą dłonią
Zalotnie przysłaniam oczy,
Śledząc z uśmieszkiem, jak o nią
Krew strumieniami się toczy —

Z salonów moich złoconych,
Z mej gotowalni pachnącej,
Z ogrodów moich strzyżonych,
Z lektyki mojej błyszczącej,

Zesłałam tu do was, na chwilę,
Ot, tak, zachcenie kobiece,
Ot, kaprys, jak innych tyle,
Aby, nim rychło odlecę,

Tchnąć ku wam brzmieniem echowem
Minionych wieków piosenki,
Poigrać kuszącem słowem,
Krętem, jak loków mych pęki,

Zmienić w majaków gorączkę
Sen waszych nocy spokojnych,
Obudzić w was słodką drżączkę
Pragnień zawrotnych upojnych;

Rozniecić ognie najświętsze
Przez które żyję i ginę,

W serc waszych wcisnąć się wewnątrz
I bodaj na tę godzinę,

Przerobić na moje prawo
Dusz waszych pustą zawilść,
Że życia jedyną sprawą
Jest miłość, ach, tylko miłość!

Że kto u stóp mych wiek strawi,
Najsroźsze cierpiąc męczarnie,
Choć wszystką krew z serca skrwawi,
Ten dni swych nie przeżył marnie;

Że jeśli zechcę, odmienię
W słodycz najcięższą niedolę,
Bo jedno moje spojrzenie,
Ach, wszystkie uleczy bole!...

Że jeśli szalę czyichś rojeń
Me serce podzielić raczy,
Ach, wobec takich upojeń,
Cóż szczęście aniołów znaczy!

Idę już: tak, czas mi w drogę —
Żyćcie szczęśliwi, żegnajcie;

Ja, jedno radzić wam mogę:
Kochajcie, tylko kochajcie...

WŁ. BUKOWIŃSKI (SELIM).

Ur. 1870 r.

RYCERZE.

Janowi Rembowskiemu

Zawarłszy z burzą przymierze,
W cel święty wpatrzeni swój,
Wśród błyskań idziem — rycerze
Na bój, na wielki bój.
Zakłętej Królewny strzeże
Piekielnych potęg rój,
Chwytajmy miecze, puklerze —
Na bój, na święty bój!

Przed nami dzikie bezdroża,
— Przed nami pustyń znój,
Przed nami góry i morza,
Za niemi zamek twój:
Królewno, już świta zorza,
Łzy, otrzyj i boleść kój...
Potęga wiedzie nas boża
W Idei święty bój!

WITOLD BUNIKIEWICZ.

Ur. 1883 r. w Doleskowie.

RAPORT.

Posyłam najposłuszniej raport mej kompendzie z placówki w zaufaniu siódmej zdany rocie. Jak pomnę, jutro miesiąc upływać już będzie, gdy stoimy niezłomnie w żarze i spiekocie, w deszczu, ogniu i chłodzie, lecz garść mych żołnierzy, wskamieniała w tym znoju przywarła do żlebu i niech jeszcze po stokroć z nami wróg się zmierzy, to zawyje z wściekłości, klątwę śląc ku niebu.

Posyłam ranny raport: Dziś przed słońca świtem, ledwie jutrznia na niebie przetarła powieki, runął wróg ku nam ławą, cimą, korytem zbitem ziejąc lawy ołowiu i płomienia rzeki. Nietrwożni na placówce, drwiąc z ognistych deszczy, ostalim niezachwiani, choć szarpał szeregi, granatów głuchy łoskot i plusk kul złowieszczy, rzyjąc wyrwy ogniste, żłobiąc krwawe ściegi.

Dzierżymy okop silnie... Z oficerów roty sam jeden pozostałem — reszta padła w chwale, żołnierzom dając przykład męstwa i ochoty. — Dla zmarłych o krzyżyki proszę, generale. — Podporucznik mój, — smutkiem serce dotąd wzbiera, gdy wspomnę, jak mu ciało rozdarły kartacze, na puch się stoczył ziemi z gestem bohatera, wiedząc, że nawet po nim druh dziś nie zapłacze.

Chorażowie dwaj legli. Jedno dziecko prawie, w świat dopiero wyleciał od pieśczoł matusi,

gdy kula pierś przeszła, podniósł oczy łzawie
i pytał, czy to prawda, że umierać musi.
Gdyśmy ciało składali w strzeleckim wądole,
patrzyło niebo jasne, a jutrzienka złota
pocałunek na martwym ułożyła czole
i honor mu oddała salwą całą rota.

I honor mu oddała gęsta tyraljera
i dreszczem palby okop wrogów zamroziła,
by wiedzieli, że darmo u nas nie umiera
najmłodszy z bohaterów, a każda mogiła,
co martwym kopcem piasku poziera z oddali
i świeci po równinach brózdami szaremi,
jest ołtarzem, gdzie tysiąc serc znów się zapali,
by nowo ślubowanie świętej złożyć ziemi.

Taka mężna ochota owładnęła dusze
i taką żądzą zwycięstw rozżarci żołnierze,
że nieraz ślepy zapał ostro karcić muszą,
gdy szaleństwo przewagę nad rozsądkiem bierze.
Skoro noc jeno gwiazdy na niebie rozpali
i ciemne mroki wokół na pola rozpostrze,
pijani zwycięstw szaleń rwą naprzód zuchwali,
by w piersi nieprzyjaciół wbić bagnetów ostrze.

I krwi ich drażni zapach i jęk grozy miota
i pomsty setki uczyną spokój nasz rozsprzęga,
zda mi się, że nie moja strażuje już rota,
lecz widmowa wypełzła z podziemi potęga.
I oczy krwią nabiegłe śle po polu szczerem
i na czarne pustkowia czujny słuch wyteża,
rychło znowu obfitym nasyci się żerem
i napoi hałasem śmierci i oręża...

Czekam dalszych rozkazów. Garść moich żołnierzy,
co płomieniem zapалу w jeden łańcuch skuta,

wystarczy, aby legnąć na wrogiej rubieży
i strażować jak dziejów niezłomna reduta.
Nadzieja nas pokrzepia, że nad piasków łoże,
dokąd codzień strugami krew serdeczna spływa,
nowe słońce w królewskiej chwale wyrzeć może
i gotowy strój wdzieje ziemia nieszczęśliwa.



ŁKAJĄ PRZECIĄGLE DZWONY NIESZPORNE.

Łkają przeciągle dzwony nieszporne,
Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Snują się zwolna mroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic,
Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Mdlejących kwiatów snują się wonie,
Na trumnie wędną święcone palmy.

Słyszę pożegnań żałobne psalmy,
Oczy przysłania opona mglista,
Na trumnie wędną święcone palmy:
„Niech światłość świeci jej wiekuista”.

Oczy przysłania opona mglista;
Kolana same gną się pokornie — .
„Niech światłość świeci jej wiekuista!”
Łkają przeciągle dzwony nieszporne.



WINCENTY BRZozowski.

Ur. 1877 r.

HYMN.

Śpiewajmy Ognia Świętego objawy,
Od których Życie, Wiedza, Moc powstała:
Słońce i Gwiazdy i Księżyc złotawy —
Wiecznie im chwała!
Śpiewajmy Ognia Świętego objawy!

Niechaj nad nami kwitną Gwiazdy Boże,
Abyśmy duszy naszej nie splamili:
Ona ma białość na ciemnem jeziorze
Przedziwnej lilji.
Niechaj nad nami kwitną Gwiazdy Boże!

Niechaj nad nami świeci Łuk Księżycy,
Aby, w powoje srebrne owinięta,
Szła dusza nasza, cicha wędrownica,
Która pamięta...
Niechaj nad nami świeci Łuk Księżycy!

Niechaj nad nami płonie Wielkie Słońce,
Byśmy nie legli wśród smutku popiołów,
Lecz byli duchem, jak orły, lecące
Do Archaniołów!
Niechaj nad nami płonie Wielkie Słońce!



GUSTAW DANIŁOWSKI.

Ur. 1871 r.

SONET.

Niechętnie w twojej formie kwiat mych myśli mieszczę.
Czynisz na mnie wrażenie poziomego karła,
Który smukłą dziewczynę, by się nie wydarła,
Wiąże w brulalny uścisk, jak w żelazne kleszcze.

Gdy czytam piękny sonet — to czuję w nim dreszcze
Zdławionej raptem pieśni, co się miała z gardła
Wylać szeroką falą i nagle umarła,
Choć mogła jeszcze dźwięczeć i chciała żyć jeszcze.

Lecz, gdy widzę, że nawet w tej ciasnej łupinie
Zanadto jest przestronno, że pustkami świeci,
Szersza niżli uczucie, że wątła myśl ginie

W niej bez śladu, jak piosnka, śpiewana przez dzieci,
Siląca się dźwiękami napełnić świątynię,
Nadto wielką dla głosu: to mi wstyd — poeci!

PIOSENKA.

Raz, gdym śpiewał piosenki płomienne,
Kiedym śpiewał młodzieńcom swe pieśń,
I myślałem, że dusze ich senne
Rozbudziłem, odarłem je z pleśni,
Serce w piersiach zadrgało mi żywo...
Wtem rzekł jeden: — No, chodźmy na piwo!

Zaśpiewałem dziewczynie o zmroku,
Wyszeptałem jej swoje marzenie,

A gdym blaski zobaczył w jej oku,
Fale w piersiach i w twarzy płomienie,
Rwałem serce, zmieniałem w słów kwiaty,
Wtem spytała: — Czy pan jest żonaty?

Więc śpiewałem piosenki me własne,
Zaśpiewałem je słońcu o świetle,
I słuchało mnie słońce to jasne,
I słuchały mnie chmury w błękicie,
A głosowi wtórował wiatr świeży...
Słońce kocham, nie wierzę młodzieży.

A gdym nocy zaśpiewał uroczej,
Kiedym nocy zaśpiewał tej cichej,
To słuchała mnie noc i gwiazd oczy,
I słuchały mnie kwiatów kielichy,
I mgły sine, wiszące w dolinie...
Dziś noc kocham, nie wierzę dziewczynie!

A gdym ziemi zaśpiewał tej łzawej,
To słuchała mnie ziemia ta święta;
I przycichły motyle wśród trawy,
I przycichły na drzewach ptaszęta;
Wtórowały mi ziemi tej groby...
I dziś kocham tę ziemię żałoby!

I dziś kocham ja słońce to złote,
I noc kocham i gwiazdy promienne,
I pieśń kocham i pieśni tęsknotę,
Kocham niebo i chmury te senne,
Kocham ptaki i kwiatów powoje...
Dla nich płyńcie piosenki — wy moje!

Dla nich, dla nich ma piosenka niech dźwięczy,
A strój pieśni mej będzie bogaty,
Bo pożyczę jej blasków od tęczy,
Barwy dadzą piosence mej kwiaty.

A rytm pieśni da szera ptaszyna...
Więc płyn piosako. — Ty moja jedyna!

Płyn, piosenko! i rośnij na sile,
A płyn piękna i żywa, jak rzeka!
I nie tylko cię kwiaty, motyle,
Lecz i serce ukocha człowieka...
Co? człowieka? Dlaczegoż to słowo,
Odrącone powraca nanowo!

Tak! bo chociaż bardzo mi jest droga
Noc marząca w gwiazd złotej ulewie,
Smutna ziemia i słońca pożoga,
I tęsknota, zaklęta w słów śpiewie,
I lot ptaków, i kwiatów kobierce...
Lecz najdroższe mi.. ludzkie jest serce!



ZDZISŁAW DĘBICKI.

Ur. 1870 r

TRZY HASŁA.

Żołnierski syn, żołnierski wnuk,
Nie zaniechałem w sobie sztuk,
Co myśli moje ćwiczą,
Jak armję tajemniczą!

Czujna jest duszy mojej głąb
Na warkot bębnow, na zew trąb —
I nieraz w nocną ciszę
Wymianę hasel słyszę...

W o l n o ś ć ! najpierwsze hasło brzmi,
Woła niem tętno mojej krwi,
I serce-szyldwach — w nocie
Bez przerwy niem łopoce...

A zasię drugi na mnie głos
Jak złoty w polu szumi kłos
Na łanach ziemi żyznej —
To smętny głos O j c z y z n y...

A trzecie hasło jest, jak cud:
To obudzony polski lud,
Co w przyszłość swą spoziera
Żrenicą bohatera...

Na przemian owe hasła trzy
Z placówek moich płoszą sny,
I macą dzień spokojny
Rygiorem ciągłej wojny...

W OGRODZIE KLASZTORNYM.

Zaszedłem tutaj — nie wiem którądy —
Pomiędzy białych narcyzów grzędy,
W mały, klasztorny ogrójec wonny,
Gdzie kwiaty rosną ku czci Madonny..

Wino tu murów czerwień oplata,
Oddzielających klasztor od świata,
Cegły się w słońcu południa mienia,
Kapiąc rozkoszną, bujną zielenią...

Białe narcyzy na grzędach kwitną,
Pod nieba ciszą słodką, błękitną, —
I tylko czasem mnich przejdzie tędy,
Z konwią od studni polewać grzędy...

I tylko czasem ogród powtarza
Szeptane cicho słowa z brewiarza,
Kiedy braciszek z schyloną głową,
Modląc się, minie gąszcz narcyzową...

MOJEMU POKOLENIU.

Potomni, którzy przyjdą, a będą szczęśliwi,
Na grobach naszych niechaj wieńców z róż nie kładą,
Ale niech nas rycerską salutują szpada,
Bośmy żołnierze byli — wiarą w „jutro” żywi...

Na placówkach samotnych staliśmy bez broni,
Honoru broniąc życiem, a życia — honorem,
I choć rozpacz się legła w naszym sercu chorem,
Słuchaliśmy, jak tętent dni idących dzwoni...

Snił nam się biały rumak, co światem przeleci
I w bruki miast złotemi uderzy podkowy,

Widział nam się dzień wielki na niebie i nowy,
Co blaskami mrok nocy wiekowej rozświecił...

I serca w nas waliły nadzieją, jak młotem,
Na wieść każdą o jutrzni, co daleko błyska,
I kupiąc się w obozie dokoła ogniska,
Nie spaliśmy snem słodkim pod naszym namiotem.

Czujny nam duch przewodził i czujne nas strażę
Budziły swoim hasłem do ciągłego trwania
Pod chorągwią, co w górnych obłokach się słania,
A w podziemiach na święte, ukryte ołtarze...

Więc choć bez lśniącej zbroi, bez ostrego miecza,
Co w boju się o twarde przytępia puklerze,
Przetrwaliśmy na warcie, jak prawi rycerze,
Gdzie nas honor wiódł Polski i godność człowiecza.



ST. DŁUGOSZ (TETERA).

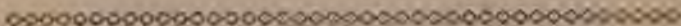
Poległ jako legjonista 1915 r.

WYZNANIE WIARY.

Powiadacie, że jeszcze zawczasie,
aby rzucać w noc jesienną Wić,
że się musi gdzieś w podziemiach tlić,
aż na wiosnę piorunami wskrześnie!

Nie wybuchnie nigdy płomień — Czyn,
jeśli wiecznie czując Pogotowie,
na gwałt nowy buntem nie odrowie
i nie wyjdzie na świat z tajnych min.

I nie krzyknie junaczo, rozgłośnię:
— „Otośmy są, robotnicy dnia,
niech truchleje despotyczna cma,
my wam Słowo powiemy o Wiośnie!”



ROMANCA O MIŁOŚCI.

I. Królowna zakochana.

Słodką królowna idzie w las,
gdzie mieszka pustelnik stary,
któren wyroki niebios zna
i umie rzucać czary.

Śmieje się bór, sosnowy bór...
Zmilkł w gąszczach świegot ptaszy.
Coś czai się za każdym pnem,
w czarnych zaroślach coś straszy.
(I mówi królowna tak:)

Hej, pustelniku, przychodzę tu
zalana łzami rzewnemi
ja, com jaśniała ongi tak
jak słońce, wesele ziemi.

Ciemny jest bór jak śmierć... jak śmierć...
a bezdenny — jak miłowanie...
Szpada rozstrzygnie komu się
moje biedne serce dostanie.
- (Jakże jest srogim los...)

Pustelnik woła: „Nie lej łez...
Mam niezawodną radę.
Zakłęcie tajemnicze znam
i oczaruję szpadę.

Mów tylko, który z mężów dwóch
twojemu sercu daleki...

Czarna i nieprzespana noc
przesłoni mu oczy na wieki"...
(Królowna mówi tak:)

Cudny jest Ryszard, cudny jest Jan...
Jan ma kędziory ze złota.
W duszy mej namiętności raj
budzi Ryszarda pieśczęta.

Dziecięca słoneczna Jana twarz
jest jako świętych twarze.
Ryszarda szął pali mi krew —
umierać z żądzы każe...
(Nieszczęsna, kocham dwóch...)"

Pustelnik szepce: „Nie płacz już...
Znam ja przemożne czary.
Stępi się od nich ostrze szpad
i żadnej nie będzie ofiary"...
(Królowna mówi tak:)

„Ze zmii zębów, z trujących ziół
daj mi najgorsze jady.
Pali mię miłość do obu z nich —
chcę zatruć więc obie szpady...
(Nieszczęsna, kocham dwóch...)"

II. Spotkanie.

Złote słońce umiera w borze...
(Gasną blaski jasnych promieni).
Złote słońce umrzeć nie może...
(Krew czerwona niebo rumieni).

Dwóch rycerzy wyszło do walki...
(Jakże zimnem jest ostrze szpady).

Złote słońce we krwi umarło...
(Jakże zimnym jest księżyc blady).

Obie szpady już krwią zbryzgano —
(Krew gorąca strumieniem bije!...)
Obie szpady jadem zatrute — —
Obie szpady syczą jak żmijeli!

Czarny Rycerz walkę przerywa
i powiada tak do rywala:
„Czas nam bracie umierać młodo,
Jad mi w żyłach ogień rozpala”.

„Gdy różana zorza zaświta,
już nie ujrzy wówczas nas obu...
Obie szpady jadem zatrute...
(Szpady zimne, zimniejsze od grobu.)”

Odpowiada mu Złoty Rycerz:
„Hej, cokolwiek się z nami stanie,
niech szczęśliwie żyje na ziemi
nasze słodkie, cudne kochanie...”

Błogosławię jej oczy modre,
w których było niebo i słońce...
Błogosławię jej usta szczodre,
w całowaniu takie palące...

Błogosławię jej śliczny uśmiech,
taki tkliwy i taki czuły
i jej białe, miękkie rączka,
które ostrza naszych szpad zatrąły”.



BADYLE.

Głowę nisko, niziutko pochylę,
by popatrzyć, jak się chwieją badyle;
cała w słuch się i w oko zamienię
i twarz blisko do ziemi przyłożę,
aby wiedzieć, o czym snią na ugorze
tu i ówdzie leżące kamienie.

Pozostawcie mnie samą na polu.
jedno małe ziarenko kąkolu
jest mi bardziej braterskie, litosne
od Was. Oczy i słuch wciąż natężam,
codzień zrywam się, padam, zwyciężam,
codzień korzę się, walczę i rosnę.

Wolę słoty, wolę hałas gromów
od zaduchu Waszych niskich domów,
od powietrza, które duszę ściska.
Tu dzień każdy wznosi coś, coś grzebie,
a nademną po szerokiem niebie
z głośnym gwizdem przeganiają wichrzyska.

Puch przelata. Ktoś nieznany sieje
chwasty, zboża, zgony i nadzieje,
pieśni dzikie, śmiałe i żalosne,
a ja coraz szerzej wzrok otwieram,
puch, i pieśni, i nadzieje zbieram
i upadam, i powstaję i — rosnę.

IKAROWE LOTY.

Otwierajcie naoścież zorzy złotej wrota!
Jak motyl — skrzydła w słońcu wypręży tęsknota,
jak kamień na dno duszy opadł stary ból.
Odrzuciła za siebie troski wola dumna,
radosny tryska w niebo — stubarwna kolumna
duch ludzki wyzwolony — zwycięzca i król!

Jak kwiat zapachem — życie moje wzbiera mocą!
Jeszcze po ciemnym borze zle duchy łomocą
i w zatopione dzwony biją — zmarłych dzwon!
Niech storczyki na grobach kwitną i paprocie,
nam lśni szczęście, zdobyte w krwawym trudu pocie,
bije w sercu, drga w dechu umęczonych łon!

Niech strzaskane kolumny po grobowcach leżą...
Nam krew dzwoni na nutę bohaterską, świeżą,
zatechłych mogił obrzydł osmętek i kurz!
Jak świat długi — lodową korę rwą powodzie...
Naprzód... Ster ujmij w rękę! już spuszcza my łodzie.
my — ptaki do nieznanych zdążające mórz.

Śmieje się ze mnie dzisiaj życie moje władne,
bom sądził, że tęsknicą złamany, upadnę
i skrzydła zdruzgotane w prochy będę włóki,
a oto, krwią serdeczną karmiona i ciałem,
dziś tęsknota za słońcem leci zmartwychwstałem..
Ani mię ból pokonał, ani obłąd zmógł!

Otwierajcie naoścież wrota młodej wiosnie,
a duch wam zolbrzymiały pod niebo urośnie,
zbywszy więzów, zbywszy żalości i łez —
jak orzeł pijany światłem nad chmury wybieży,
niepomny ziemi, żadnej niebacznym rubieży,
bez lęku o zagubę, bez troski o kres!

JÓZEF JANKOWSKI.

Ur. 1865 r.

NIE DZIWI SIĘ TEMU, PANI...

Nie dziw się temu, pani,
Żem ufał twojej cnocie,
Żeś gwiazdą w mej otchłani,
Snem była w mej tęsknocie.

Żem przez cię cud w kobiecie
I świętość widział z nieba...
Do diabła! w coś na świecie
Choć chwilę wierzyć trzeba!

PO TYLU LATACH.

Po tylu latach na mej piersi,
Jak kwiat spoczęła czuły,
I lży z jej oczu opowieścią
Długą się, długą snuły...

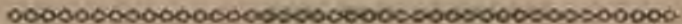
I wszystkie, jako sen bolesny,
Wpłynęły w moją duszę —
I dzisiaj łzami temi ciebie,
Dziewczyno, karmić muszę.

TWA PIERŚ CUDNA...

Twa pierś cudna — morza fala,
Najponętniej wirem wzdęta...

Hej, żeglarzu! mijaj zdale!
Bo pociągnie — i opęta

Jam z nieszczęściem zbratan dawno,
W zradną toń się rzucam śmieie:
Za mą duszę niepoprawną
Mówcie pacierz, przyjaciele!



JÓZEF JEDLICZ.

Ur. 1879 r.

PIEŚŃ POŻEGNANIA.

— Już mi przyjdzie porzucić
Te chłodne mroki sadu;
Twe objęcia królewskie
I usta z winogradu,
I oczęta niebieskie — —
Już mi przyjdzie porzucić,
Aby nigdy nie wrócić...

Pójdę na święte boje.
Na zgony i na męki,
Na bezmiar pracy krwawej
I niewysłowione lęki —
Na śmiertelne zabawy...
Pójdę na święte boje,
Na wieczne niepokoje.

Więc hartuj serce w piersi,
Bez żalu odejdz w mroki —
Spójrz z dumą w pomiot karli...
Tam — wśród głuszy głębokiej
Przyjmą ciebie Umarli — —
Więc hartuj serce w piersi,
Choć opuszczą najszczerzi...

Gwiezdna cisza nad nami,
Gwiazdom duszę twą zwierzę —
Wśród mroków kurhanami
Pójdziem — świtem i mgłami —
Tam, z wielkimi duchami

Na wieczyste przymierze — —
Twą duszę gwiazdom zwierzę.

— Dziękuj Bogu, kochana,
W zachwytniej klęknij skrusze:
Za swe szczęście ułonne,
Za tę wielką swą duszę
I cierpienie ogromne —
Dziękuj Bogu, kochana,
I żeś była wybrana!...

JAN KASPROWICZ.

Ur. 1860 r. w Szymborku.

Z cyklu: „Księga ubogich”.

A MOŻE?

A może w straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li gruzы wyrosną,
Nie same li kupy zgliszczy?

Może w zapasach olbrzymów
Złe się nareszcie przełamie
I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie?

Gdzie, wstydząc się swojej gnuśności —
Może to chwila przebudzeń? —
Zbyt długiej, uczuje człowiek,
I że' stalowe ma kości?

Miał kajdanami podzwierać
I rzewnie olzawiać się bolem,
Być może, zbawcze gdzieś wyjście
Okiem wyśledzi sokołem?

Nie! szukać-ci go nie będzie
W chytre rachunki bogaty,
Lecz piersi wypręży i ręce,
Więzienne roztrzaska kraty.

Pod piersią jego, silniejszą
Od najtrwadszego młota,

Rozpręgną się rygle i zamki,
Żelazne rozprysną wrota...

Oby ta wielka godzina,
Co taką nadzieję nieci,
Stała się dziś już naprawdę
Przepełnieniem stuleci!

Oby wbrew wszelkim pojęciom
Dowód przyniosła nam rada,
Że oto z dwojakiej wieczności
Jedna się wieczność składa.

Że za wiecznością, co legła
Przy dzwonie tego zegara,
Nikt w czarnej nie chodzi sukni,
Nikt po niej się płakać nie stara!

Że zasię nowa się wieczność
Z krwawej poczyną rzeki,
By dziękczynnego „Te Deum”
Słuchać po wieków wieki...

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje do woli,
Byle ta wieczność wyrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Że wieczność ta nie uśmierca.

Że chociaż wszystko stlało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia!

Napewnel napewnel napewnel —
Niechże ta pewnoś mnie krzepił
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą,
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bez miary
W miernej dowidzą kropelce.

Z „KSIĘGI UBOGICH”.

XI.

Przystałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tem potęgi,
Co gdzieś po nocach drzemią,
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały-ci o tem moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Wiedziały-ci o tem zastępy,
Które czyhają z za węgla,

Lub z okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęła.

Wiedziały, że jeno się zbliżyć
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce odrazu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluźni...

Że swym bluźnierstwom i kłátwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy.
Bom-ci nie żaden słuźalec,
Na własne serce głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata.
Swawolność mi była daleka,
A tylko korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Żrenice me nie dostrzegły:

Nie ruszył ci On naprzeciw
W rynsztunku wspaniałym dziwie.
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłaźliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą: „w żelazo się okuj!”
Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem.
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mego spokoju
Żar świętej wojny zatleje.

Z cyklu: „Ginącemu światu”.

ŚWIĘTY BOŻE! ŚWIĘTY MOCNY!

(Fragment).

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,
a czarna wrona
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką
światlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedź się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumił w wądocach
i z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z nimi...

z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkimi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się załobie
śladem ich drogi...
Całe rżyskami zaścielone łąny
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i słyną
tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
O, Nieśmiertelny!
O, wieńcem blasków owity!
Na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i głową na złocistym spoczawszy Trójkacie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej —
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą umrzeć

w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O, Boże!
O, mocny!
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas głód!
Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.
A, jak ryczący lew,
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyną i pożogę
sieje na miasta i wsi —
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O, zniszczeń dymiące dni!
A my, ten naród potępiony,
krzyże ujawszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiami piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny,
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,

jak ten zsieczony las —
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na te cmentarne przelewa się pola,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żalobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łąka,
a w oku błyszczy łąka,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła łąką ociekającą,
a jaskier wędnie na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilije,
a mór nam było bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpiętej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!
O, Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi —
zachowaj nas, Paniel...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał —
i gdy najkrótszy słońce rzuca cień

na te manowce,
na te ścierniska,
pod ramię chwycił kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal —
nad Ciebie, Boże, wzrósł!..
Masz-li Ty grom —
masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?..
Wal błyskawicą, wall
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!..

.

Szataniel!

Ty kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kosi
wzrosłeś w niebiosy —
a grom nie padał
Z nieukojoną żalobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...

Szataniel

Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!

A, Ty, o Święty!
A, Ty, o Mocny!
Ty, Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesyj w Swej klepsydrze złotej
i płód żywoty,
aby tak klęły jak ja;
aby płakały jak ja;
aby w szarpającej modlitwie,
co jak dzwon ten lka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły, z gromnicami w dłoni,
ku tej nieznannej ustroni,
do tej ostatniej mogiły;
aby tak wyschły jak łąza,
której już oko nic płakać nie może;
aby tak marły jak ja —
O, Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże!

KSIAŻĘ.

Patrz!

Przez sto dróg, jak sto potoków,
w otoku kurzów, w złotej rdzy,
jak obłok wielki: — sto obłoków! —
suną stalowe, jasne skry;
krańcami wiodą swe widety,
na horyzontu wielki krąg
półmiljonowa ciżba rąk
dźwiga szabliska i bagnety.
A dołem huczy, dołem drży
w szalonej mocy, w krwawej tęży
nabrzmiały wał ciał i uprzęży,
poligon, armat ciężki, zły.
Zmęczona śmierć z spiżowych paszcz,
jak z czarnej wychyniona studni,
spogląda dziwnie uśmiechnięta,
nad wszystkim wisi kurzu płaszczy,
nad wszystkim pogłos głuchy dudni
i woła tego, co pamięta.

Idą szeregi przed się w kraj:
wiarusy stare i panięta.
Karmieni Europy krwią,
Italji słońcem, bitew rdzą,
sprzągnięci obląkańczą władzą
ogromny łańcuch swój prowadzą:
żołnierze, gwardja, bohaterzy,
szereg wyniosły, szereg twardy,
królowie, diuki i bastardy,

wspaniałe, nieugięte lwy!

Szaleńcy!

Chamstwo. Nic nie warte,
póki nie spojrzysz na nie — On:
Bonaparte.

— Księżę. Osłonisz odwrót armji.

— Sire.

(Hejże! Niema dzisiaj śpiewki.

kiedy ułańskie chorągiewki

poległy w boju, w bitwy czas...)

Księżę osłoni odwrót armji.

Lwy — lwia się krwią dosyta karmi —
gdzie-bo nie posyłano nas!?

Och! mundur wodza przed wylotem
kul. Żołnierz ściele się pokotem...

Hej! Księżę polskiej kawalerji

w nieporównanej galanterji

przyszedłeś bić się — jeszcze raz!

Księżę!

Fortuna się nie łąsi...

Zdradzą Francuzi. Zdradzą Sasi.

Ty — byłeś tylko Polski synem:

sprzysięgłeś się z Korsykaninem,

do końca będziesz wiernie stać.

Księżę!

Daleka Polska Twa...

Kiedyś — — — złocisty królewiczu,

bawiłeś strojne grono dam.

Pod Blachą byłeś sam, paniczu,

swój polski sen o polskim zniczu

w spuściźnie przekazałeś nam.

Sam byłeś, gdy różane roje

patrzyły w piękne oczy Twoje.

sam byłeś, kiedy Amor błądy,

pierzchł o poranku niepowrotnie,
bo go przeraził słońca błysk
na rękojeści Twojej szpady.
Książę!

Daleka Polska Twa...
Nim los nam sztandar w strzepy potnie,
jutro przyniesie krwawy zysk.
Ty potrafiłeś stać do końca.
Książę poznał mocne ściegi
krwią. Polak ich dziś nie rozwiąże.
Puchar wypełnił się po brzegi.
Nie będziem pisać Ci elegji,
Książę!

Tyś między polskie bohaterzy
wszedł i zostaniesz niepowrotnie.
Nie będzie tulać się samotnie
wiatr, co nam powiał od Elstery.
To, co wiatr przyniósł w swoim szumie,
pokocha każdy i zrozumie.
Książę!

Blizszą dziś Polska Twa.
Z dalekich krajów i wylądów,
gdy się orłowi ptacy zbiegą,
powstaną stróże, którzy strzegą
Sądów.
Obudzą zmarłe Polski woje,
powiedzą gromko imię Twoje:
Iżeś niewolne zmazał błędy,
iżeś wyśpiewał pieśń uniesień,
iżeś, rycerzu doskonały,
godzien najwyższej wieków chwały:
Legendy!

EDWARD KOZIKOWSKI.

ZEJŚCIE Z DJABŁAKA.

Tysiąc wichrów wyskoczy niewiadomo skąd
i runie całą siłą, jak fale na ląd.

Wszystkie chmury się zbiegną, by uderzyć wraz
i z djabelskiej przełęczy na dół zepchnąć nas.

Kamienie się obsuną z pod idących stóp
i ze wszystkich krawędzi powita nas grób.

Jakieś ptaki zaszumią proporcami piór
i zginą w wirze wichrów, pod nawałą chmur.

Nawet słońce tym razem nie spojrzy ku nam,
by zaświecić nam w oczy złotem jakichś plam.

A jednak i z tej matni zatraconych dróg
Wyprowadzi nas wszystkich wszechobecny Bóg.

NA PRZEŁĘCZY BABIOGÓRSKIEJ.

Gdy wichry mnie okrzykną tutaj królem świata,
to echo im odpowie w dalekich zaświatach,
i razem z obłokami, co spadną na oczy,
zatrączę się bez śladu w nadchodzącej nocy,
i nie będę już szukał swojego imienia,
bo nareszcie zrozumieć, że go nigdzie nie ma.

Gdyby ze wszystkich tęsknot puszczonej w niepamięć,
choć jedna odwaliła ten mogilny kamień,
i szukając w rozterce po niebieskich szlakach,
wzięła za mnie pierwszego spotkanego ptaka,
możęym i uwierzył (o, bajko zawiła!),
że choć cię nie znalazłem, to jednak gdzieś byłaś.



WŁADYSŁAW KOŚCIELSKI.

Ur. 1886 r.

Z „TERCYN”.

Niechaj lżej noga twoja zstępuje na darnie,
bo oto wiosna z zimą zwycięsko się pora
i noc się już pośpieszniej ku odejściu garnie.

Niech raczej krew zatętni — do miłości skora!
Patrz, już kwiaty zakwitły nad błyszczącą strugą
i świat ten jest tak młody, jakby nie znał wczora.

Ciesz się młodością! Smutki przyjdą niezadługo,
zrządna starość wnet`czoło zgryzotą ocieni
i niebo jednostajną przesłoni szarugą,

iż nie rozróżnisz wiosny, lata i jesieni.

Gdym dzieckiem, palcem wskazując przedmioty,
matki się pytał: co zacz i dlaczego?
ona mię, milcząc, tuliła w pieszczoty.

Z wiekiem szukałem myśli, których strzegą
martwe litery w księgach rozpoznania,
chciałem wysłuchać ich z wiatru halnego,

z ust wycalaować w godzinie kochania;
lecz kiedy dróg mych kres obaczę bliski,
nękać mnie będą te same pytania,

które stawiałem matce u kołyski.

Aniołów ze zjadaczy głos twój nie uczyni,
dłonią swą nie wyczerpiesz wody w oceanie;
ani płaszczem swym wichru powstrzymasz w pustyni,

a krokom twoim skała naprzeciwko stanie.
Kiedy wokoło życie kłębi się i wali,
mnie niech miłość prowadzi i lutni władanie!

Bym szczęśliw choć samotny, niby łódź na fali,
żem dni swoje zawierzył Muz ukojnej pieczy,
powiedział, gdy odemnie burza się oddali:

„Wielem tutaj pogrzebał, więcej wskrzesił rzeczy”.



ANTONI LANGE.

Ur. 1863 r. w Warszawie.

Z „ROZMYŚLAŃ”.

I.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbym odejść precz,
Aby gdzieindziej być tej samej chwili,
Rojąc, że w jutrznię los twój się przechyli
Na innym miejscu... To codzienna rzecz!...



Gdziekolwiek jesteś, chciałbym odejść w dal,
Bo wiesz, że nigdzie nie jest miejsce twoje —
I płyniesz, zawsze rozdarty na dwoje,
Bo płyniesz zawsze do nie swoich fal.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbym iść gdziebądź,
Gdzie ciebie niema, bo gdzie ciebie niema,
Niema twych smutków — i twa rozpacz niema
Już cię nie trwoży... Dalej, wiosło trąć!

Gdziekolwiek jesteś, zawsze dążysz tam,
Gdzie cię już nigdy i nigdzie nie będzie,
Boś tam u siebie — i zawsze — i wszędzie,
Boś tam u siebie — u wieczności bram.

LI.

Nie chciałbym żyć na ziemi, gdzie niemasz cierpienia,
Bo cierpienie jest wielkie, cierpienie jest święte;
Ono imię nadaje rzeczom bez imienia
I w duszy nam Sezamy odkrywa zakłète.

I gdyby mi otwarto edenowe wrota,
Możebym pełny trwogi znowu je zatrzasnął,
Ze nazbyt jest promienna ta promiennność złota
I żebym w jej błękitach nazbyt słodko zasnął.

Niech duszę mi głód wieczny ogniem swym rozpala,
Niech u rozwartych niebios ciągle stoję progu:
Niech mię nieistniejących ułud pieści fala,
Niechaj nienasycony idę wciąż ku Bogu.

Bo wielką jest cierpienia mądrość nieśmiertelna,
Świątą jest rozczarowań gorzka umiejętność,
Co urasta w bezmiary; głąb nieskazitelna,
W której lśni lodowato boska obojętność.

Jednako obojętnie własne męki znoszę
I cudze — i tak dziwnie do cierpień nawykłem,
Że mi samo cierpienie zmienia się w rozkosze
I że co cierpieć — wszystko małem jest i nikłem!

SOLVEIG.

W dal — o tysiące mil —
Hen — nad srebrzysty Ind,
Hen — nad błękitny Nil —
Wyruszył w świat Peer Gynt.

A gdy szedł na wielką wodę,
Żegnało go dziewczę młode —
Niby anioł złotowłosy,
Z okiem jasnym jak niebiosy.
— Nie jedź! Zostań, zostań z nami!
Czego szukasz za morzami?
— Siła pcha mię niewiadoma —
Nie usiedzę ja tu doma —

W dal mię nęcą — w dal wyprawy:
Szukam szczęścia,, prawdy, sławy.
— Więc, gdy mus — to płyn we światy
Lecz na progu tej tu chaty —
Pomnij, zawsze, choć z daleka,
Wierna Solveig ciebie czekał
Czeka ciebie z duszą smutną —
Wielobarwne przędzie płótno.

A ty duszy nie zatracaj —
Poznaj dale i powracaj!

Zaszumiało wielkie morze —
Zapłakało dziewczę hoże!
W bezmiar płynął ukochany —
Na te groźne — na orkany!

W dal o tysiące mil —
Hen — nad srebrzysty Ind —
Hen — nad błękitny Nil —
Wyruszył w świat Peer Gynt.

Powędrował w świat daleki —
Widział góry — lasy — rzeki —
Widział grody Singapurów —
Z mgły i złota i lazurów.
Widział czarnych bóstw świątynie —
Ciemne dżungle i pustynie —
Słonie, małpy, lwy, tygrysy —
Cedry, palmy i cyprisy —
Samarkandy i Bagdady —
Piramidy i Troady —
Kapitole, Akropole —
I Hesperje i Syberje —
Atlantydy i Utopje —
Widział jak w kalejdoskopie.

Wędrował dziesięć lat —
I z za dalekich mórz —
Gdy znużył go ten świat,
Peer Gynt powraca już.

Serce nuda mu przesycą —
Aż pod chatą — patrz — dziewczica,
Piękna, pełna majestatu —
Wonna czarem róży kwiatu,
Uśmiechnięta napół smutno —
Wielobarwne przędzie płótno.

— Powróciłeś więc, mój drogi,
Z tej dalekiej morskiej drogi?
Pozostaniesz teraz z nami!
Cóżże widział za morzami?

— Zbogaciłem swoje oczy,
Aż od blasków coś mię mroczy.
Lecz spaliły mi się usta,
Ale dusza moja pusta!
Te wyloty i przeloty
Nie zgasiły mej tęsknoty.
Teraz inną mam wyprawę —
Teraz znajdę szczęście, sławę —
Inne teraz ujrzę kwiaty —
W inne teraz pomknę światy.
Aż Solveigi zbladły lica —
I tak mówi doń dziewczica:

— Znów opuszczasz nasze niwy?
Czego szukasz, nieszczęśliwy?
— Niedościągłych snów pielgrzyma
Żadna siła nie powstrzyma!..
— Jedź, gdy jechać cię przymusza
Niespokojna twoja dusza.
Ale ku nam patrz zdaleka:
Wierna Solveig ciebie czeka.

W dal — o tysiące mil —
Nad Olimp i nad Pind —
Śród Charybd i śród Scyll
Wędrował w świat Peer Gynt!

Aż tu z głębi mórz go wita
W pianach drżąca Afrodyta:
Za mną — za mną — ludzie, pływcie,
Za mną — za mną — idź, Peer Gynciel
I przecudne to zjawienie
Wiedzie go na pokuszenie.
Zaznał wszystkich życia trunków,
Wszystkich pieśszot, pocałunków.
Upojony i oniemion,
Poznał Ewy wszystkich plemion.
Więc Arabki i Turczynki,
I Japonki i Murzynki
I Czerkieski i Ormianki
I Hiszpanki i Cyganki —
Aż od wszystkich pocałowań
Tonął we mgle rozczarowań.

Wędrował dziesięć lat —
Ten obłąkany mąż —
Uwiądł Cyprydy kwiat..
A Solveig czeka wciąż.

Inną płonie Gynt tęsknotą.
— Chcę mieć skarby, srebro, złoto:
Oto szczęścia żywe blaski!
Kalifornje i Alaski
Teraz nęca go ku sobie —
I zanurzył ręce obie
W żył podziemnych elementy,
W złoto, srebro i djamenty.

Nagromadził ich miliony,
Kresu wciąż nienasycony.
Ale na nic wszystko — na nic:
Znowu smutny był bez granic —
I ten cały skarb zebrany
W ciemne rzucił oceany!

Wędrował dziesięć lat —
Wędrował długi wiek!
I pustym był mu świat —
— Oto mój brzeg, mój brzeg!

Brzeg rodzinny statek trąca —
Tam niewiasta siwiejąca,
Z twarzą pełną trosk i smutną —
Zwolna przędzie białe płótno.
— Czekałam cię długo — długo...
Za tą mgłą, za tą szarugą.
Ty ukryłeś się przed nami...
Cóżś widział za morzami?

On jej prawi swoje dzieje —
Sam się z siebie gorzko śmieje...
Wraca szczęścia znów niesyty,
Ale teraz zna te szczyty,
Gdzie zórz nowych szukać będzie.

— Solveig białe płótno przędzie, —
Łzami skrzy się jej powieka:
Solveig czeka ciebie, czeka!

Więc wyruszył w górny świat —
W esencję myśli kwint —
Błąkał się dziesięć lat —
W mądrości mgłach Peer Gynt.

Przewędrował wszystkie Wedy —
Euklidesy, Archimedy,
Aranyaki, Zendawesty,
Tan-te-kingi, Almagesty,
Stagiryty i Platony,
Paracelsy i Bakony,
Kartezjusze, Kanty, Hegle —
Prawdy szukał w każdej cegle —
Szukał rdzenia słów i cyfer,
Aż zeń począł drwić Lucyfer,
Że w dziurawy orzech śwista,
Niby Hermes Trismegista.
I jak Faust ów, co niestety
Przeszedł wszystkie fakultety —
I choć wszystko dzielił — łączył,
Nic z nich iście nie wysączył:
Z jeszcze większą próżnią w duszy
Na rodzinny brzeg wyruszy.
Białowłosa Solveig czeka:
Złamanego widzi czleka —
I przenika jego oczy...
Przygnębiony, nieochoczy —
Wieczny łowiec zmiennych wrażeń,
Błędny rycerz sennych marzeń —
Błady padł u stóp Solveigi —
Tą mu gładzi włosów śniegi —
I gdy ujrzy to widziadło:
Całą rzecz jej serce zgadło.

— Czekałam cię długie lata:
Z zamorskiego wracasz świata...
Dźdżyły na cię chmur kołtuny...
Biły w ciebie burz pioruny —
Wynędniały i zgarbiony
Dziś w rodzinne wracasz strony —
Czekałam cię z trwogą smutną

I to szare przedłam płótno —
I uprzedłam go niemało,
Na tę moją głowę białą —
Na te plecy moje zgięte,
Na te lica nie zwiędnięte.
A gdy legnę w tym całunie,
Uśmiechnięta spocznę w trunie —
Żem ci zawsze wierną była.
Żem czekała i wierzyła —
I choć głowa ma dziś biała —
Żem niezmiennie cię kochała
Ja jedyna na tym świecie —
Ty zbłąkane moje dziecko.

— Przebacź! Ach, ty wpierw, Solveigo,
Miłośnika szalonego —
Co żył we śnie bałamutnym —
Ty obwiniesz szarem płótnem.
Szukałem ja w dalekościach,
W głębokościach, wysokościach —
Skarbów, szczęścia, prawdy, sławy.
Przebudzenia dzień był krwawy!
Ani znałem mar nazwiska,
A ty byłaś taka bliska!
Szczęście było w twoich oczach,
Było w złotych twych warkoczach —
W twem spojrzeniu i uśmiechu,
W twoim głosie i oddechu.
Dziś spóźnione sny weselne.
Gzłó przygotuj mi śmiertelne —
Przewinienia moje daruj —
I wywołaj i wyczaruj
Wszystko to nad mą mogiłą.
Co być mogło, a nie było.



JAN LEMAŃSKI.

Ur. 1865 r. '

BAJKA O RYBAKU I RYBACZCE.

Był raz sobie rybak młody, z sercem prostaczka,
Niewód, wędka — ot i wszystek skarb nieboraczka,
Była też, jak zwykle bywa, była rybaczka.

Ona serce łowiła, on — ryby niewodem.
Kochał, jak to zwykle bywa — szął w życiu młodem.
Jak Syrenę ją pokochał, na swoją szkodę.

Poszedł do niej, gdy mu było nad wytrzymanie.
Złożył ręce, jak w pacierzu, kląkł na kolanie:
— Cóż ja ci mam dać — powiada — za twe kochanie? —

Rzekła: — Chcesz-li, abym tobie powolną była,
Daj mi rzecz, nad kwiat barwniejszą, i żeby żyła. —
Och, rybaczek dusza dziwna jest i zawiła!

Co tu robić? Ha, co robić?... Prostaczek wstał ów,
Poszedł — niewód, łódź narządził, i jechał na łów.
Naprzywoził z dalekiego morza ukwiałów.

Jedne były pozłociste, z zielonym wąsem,
Inne lśniły róż czerwienią i krwawym ponsem...
Wiózł je w wodzie, by nie zdechły. — Weź — rzekł z przekąsem.

Brała, ale skoro darzyć chce go pieśczętą,
Zaraz taki ukwiał błednie i traci złoto.
— E, do licha — rzekła wreszcie — z taką robotą!

Innej teraz żądam rzeczy. Takiejbym chciała,
Żeby dłużej, dłużej mogła żyć od ukwiała,
I żeby mi, wedle woli, zawsze coś grała, —

Z ócz rybaka zdrój łez trysnął, wielkich łez — siarek.
Co tu robić? — myśli biedny... Narznął fujarek,
Wiedzie, wiedzie, aż i przywiózł — nowy podarek.

Jedne grały mu fujarki, jak ptaki zrana,
Z innych brał, jak flet, przelewne, cudne soprana.
— Masz tu — mówi — przyłóż usta, graj ukochana. —

Brała jedną — złą, złą drugą, choć dmie w nią chciwie.
Grają wszystkie, wszystkie grają, ale fałszywie.
— Tobie — mówi — gra, mnie piszczy. Bardzo się dziwię.

Przynieś inną mi rzecz, żeby lśniła przezroczenie
I żeby mi sama grała — przynieś niezwłocznie. —
Co on pocznie? — myśli rybak: — co on tu pocznie?

Siadł na łódkę znów i przywiózł dla swej Syreny
Muszli, muszel i muszelek niezmiernej ceny,
Migocących stu barwami tęcz, jak berweny.

— Każdziuteńka coś ci szumi szumem czeluści,
I jest mocna: nie umiera, choć się ją puści,
I od kwiatów kolorowsza. Dość chyba już ci? —

Przykładała konchy muszel do konchy uszka:
— Szumieć szumi, jakby w środku siedziała muszka...
I nic więcej? — Któż rybaczek zbadał serduszka?

— Nie chcę twoich — rzekła — muszli, choć tak mieniące,
Ani twoich chcę piszczałek, choć śpiewające. —
— Więc cóż dać ci mam w ostatku? — Samo daj słońce!

Jeśli żądasz już koniecznie, bym się kochali,
Daj mi słońce, które samo stem tęcz się pali,
Daj mi, zamiast muszli szumu, szum samej fali. —

Jęknął rybak i zawołał w wielkiej rozpacz:
— Żal się Boże mojej doli, doli rybaczce! —
Ach, rybaczek nieraz dusza dziwnie dziwaczy!

Sam się rybak, sam pozostał. Gryzł się i smucił.
Zebrał wszystkie swe muszelki, w morze je wrzucił.
Siadł, pojechał w dal ku słońcu... i już nie wrócił.

Oto bajka jest o sercu tak kochającym,
I rybaczce, która chciała samem żyć słońcem.
Koniec sobie już dośpiewaj sam, koniec końcem

ŻAL.

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą.
Na skrzek i duży liść okrągły padł grązełom;
Kaczeniec żółty śpi na habrze wód i gra mi
Błękitnych szklarek rój — rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w płasach gony ryb przeżroczy nurt popielą.
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina pletw ostrzami.

Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńcy.
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret —
Siedzibę chmary much. Kapela musznych czered

Dogania senną łódź, i długo za mną dźwięczy
Smętnawy cichy brzęk — jęczenie brzmi komarze:
Oddają fali ster i wiosło z rąk i marzę...



JAN LECHON.

Ur. 1909 r.

MOCHNACKI.

(W r. 1832 Maurycy Mochnacki koncertował w Metz).

Mochnacki, jak trup blady, siadł przy klawikordzie
I zwolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym płoną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyłożonym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.

Rozpędził blade palce swiergotem w wiolinie,
I mały smutny strumień z pod ręki mu płynie,
Raz wraz rosa po białej pryska klawiaturze,
I raz poraz w wiolinie kwitną pełne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmieniają!
Nie. Równy, równo rosna w jakiś smutny taniec,
Rozdrganą klawiaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.

Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci,
Jakiś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci.
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżącą
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc światła w oczach, w czyjejś twarzy dolki,
I zapach... białej sukni, ubranej w fijołki.

Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonjer stanęło przy lonce.
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze,
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci.
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświeci.

Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą.
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — —
Ostrogą spiał melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnetami już mierzą, już blisko —
I uparcie ton jeden wybija — nazwisko!!!
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem,
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem —
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary.
By całą klawiaturę owinać w sztandary.

Zatrzymali się wszyscy, a wszyscy w kontuszach,
A klawikord im ducha rozpłomienia w duszach,
I wzduż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity,
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią.

Aż struna się ugięła, ta w górze, płaczliwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po jakichś smutnych oczach, jakiejs białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada,
Wzrok wlepia martwy, ślepy w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

— — — — —

A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrzał — taką straszną, szeroką powieką,
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:

„Citoynes! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”

BOLESŁAW LEŚMIAN.

Ur. 1879 r.

ZIELONY DZBAN.

To nie stu rycerzy, lecz sto trupów leży!
Nie sto trupów leży, jeno stu rycerzy!
A nie dla nich ruczaj dzwoni,
A bór szumny od nich stroni.
Jeno wicher we sto koni
Znikąd ku nim bieży.

Wybiła godzina — wiosna się zaczyna,
Z chaty poprzez kwiaty wybiega dziewczyna,
Dzban zielony, pełen wody,
Niesie zmarłym dla ochłody
W skwar śmiertelnej niepogody,
Co w proch wargi ścina.

Stopy moje — bose, skronie — złotowłose,
Kochałam, płakałam, zmarłym wodę niosę,
Oczerstwicie ból wasz słony,
Smakiem śmierci podrażniony,
Cały ranek w dzban zielony
Ciulałam tę rosę...

Wypić — wypijemy, lecz nie ożyjemy.
Na polu w kąkolu żal się chwieje niemy,
A my leżym z ziemią w znowie,
W tym tu rowie i parowie,
Lecz nikt tego nie wypowie,
Gdzie my teraz, gdzie my?

Jedyny dobytek — ciszy w sobie zbytek
I snu podziemnego żmudny bezpożytek,

Nim sporządzisz dla nas sanie
Na wieczyste zimowanie,
Połóż wieniec na kurhanie
Z kalinowych witek.

W waszem zgromadzeniu, w natłoczonym cieniu
Jest taki, co maki kładł mi na ramieniu,
Niech ze dzbaną pije wodę,
Niech przypomni lata młode,
Gdy raz spojrział w mą urodę
W nagłym zachwyceniu!...

Płyną dni niezłomne, czasy nieprzytomne,
Nie wierzę, że leżę trzy lata ogromne!
Mak pamiętam purpurowy,
Ale twojej, dziewczę, mowy
I tej złotej w słońcu głowy
Już dziś nie przypomnę!

Chmurzą się błękity, płacze deszcz obfity,
Na trawie w murawie leży dzban rozbity,
Dzban rozbity leży, leży,
A śpi pod nim stu rycerzy,
A wiatr znikąd ku nim bieży,
Kurzawą okryty!...



EDWARD LESZCZYŃSKI.

Ur. 1880 r. w Przemyśle.

EVIVE !

Do życia cudnych miraży
modłę się, modłę szalony —
to szczęście łuną się żarzy,
drgnęły tajemnie zasłony.

W rozdrżanej mgłę ośzołomień
przez kształty rzeczy widome,
żarem prześwieca ów płomień,
co zniszczy wszystko znikome.

I zbliska brzmią i zdaleka
rytmy zwycięstwa i chwały —
o serce, serce człowieka!
twoje to grają hejnały.

Witaj najwyższa rozkoszy,
jedna na ziemi i w niebie!
— żadna cię burza nie spłoszy,
wszystko jest w tobie i z ciebie.

W kopule dzwony strzelistej
podniebne dzwony szaleństwa
huczą twój tryumf wieczysty,
tryumf zrodzony z męczeństwa.

Wyrwana z czasu opłotów,
twoja to chwila rozbrzmiała — —
O, święta tajni żywotów,
na wieki chwała ci! chwała!

EDWARD LIGOCKI.

Ur. 1887 r. w Tuczy.

OGNIE WERONY.

Rzuciłem Lido, i piaski, i morze
i starych domów weneckich martwość
i złote zorze, i świętości złote,
— ku wielkim góróm wyężając oczy...

Przeklęte miasto mijałem z przestraczem,
dłońmi twarz kryjąc, pomny urzeczenia,
— by się nie zoczyć pod tym samym dachem,
gdzie zmarłe szczęście zna spokój kamienia,
gdzie obolałe Norwidowe serce
płakało niegdyś nad grobem Romea...

Zastygłe szczęście... martwy słup lodowy,
skuty uśmiechem słonecznej niedoli...
Niech zginie Szekspir! bo swojemi słowy
mrok jeno ściemniał — zaś gwiazd nie wyzwoli,
skorośmy stanąć bezsilni, w znużeniu,
nad Kapuletów i Montekich grobem...

Albowiem jedna jest prawda na ziemi
w kochanych oczach widziana północą.

I zostawała w oddali Werona,
świąteł wieczornych migocąc tysiącem...
Nad miastem, gdyby echem Laokona,
wiły się chmury w przestworzu dymiącem,
nosząc na sobie jakiś kształt potworny
urocznych oczu grożący potęgą...

Ażem się dorwał spokoju i ciszy
ponad szafirem śródalpejskich wód...

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

Ur. 1880 r.

ZDRADA.

Piękna niech będzie twej miłości zdrada,
Jeśli mnie zdradzisz. Niechaj twój kochanek
Nie będzie w masce, gdy pod dom się skrada,
Niech bluszczów nie rwie w podróży na ganek.

Tak czyni złodziej lub w komedji lichej
Kochanek, w spełzłym płaszczu Almaviva,
Tak u Boccaccia wędrowały mnichy,
Lecz miłość płaszczem twarzy nie zakrywa.

Niech przyjdzie do mnie i w oczy mi bryźnie
Krwią nienawiści. Ty z obliczem bładem
Przygotuj kielich z winem, lecz w truciźnie
I usta wonnym sobie namaść jadem.

Niech naprzeciwno stanie mojej twarzy
I niech mi w oczy patrzy długo bardzo;
Ty ze sztyletem skrycie stań na straży,
I patrz, czy sobą oczy nasze wzgardzą.

Tragiczna będzie scena... Wśród łez zdroja
Odejść krwawiąc, żem postradał temat,
Bowiem zbyt krótko trwała miłość twoja,
A jam dopiero... rozpoczął poemat.

POŻEGNANIE.

Odchodzisz?... och! zaczekaj
Chociażby chwilę jedną.

Aż łzy wycisnę z oczu
I lica mi pobledną...

Już smętny być zaczynam
I rozpacz we mnie wzbiera.
Och, chwilę! Jeszcze ustęp
Przeczytaj mi z „Wertera”

A jutro z cudnym listem
Mój paż odarty, bosy,
Odniesie ci do zamku
Twe wstążki, klucz i włosy.



EUGENJUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

MOGIŁOM ARCHANGIELSKIM I MURMAŃSKIM.

Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą,
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.

Gdzie ziemię opuszczoną
mróz lśniąca pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
śnież towarzysze broni.

O Polskę, od zbóż złotą,
walczyli pod biegunem,
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.

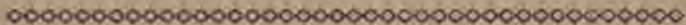
Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi —
— jedynie brzozy płaczą.

Miał mów — trzykrotna salwa
rozległa się echami
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.

Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce,
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.

Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczystej ziemi,
z oddali rzucę na nich
dłoniami tęskniącemi...

By duszą zmartwychwstali,
rozpięli skrzydła cudnie
i poszli — płacząc z szczęścia —
z północy na południe.



MARJA MARKOWSKA.

SIEWY.

Pracownikom K. B. K.

— A dopomóż Panie Boże!
— Panie Boże daj! —
Pług za pługiem oto orze
Jak szeroki kraj.

Hej, głęboko a szczęśliwie
Krajmy skiby na tej niwie,
Siew za pasem, siew!

Dawno przeszły żniwa znojne,
Żniwa długie, niespokojne,
Łzy i pot i krew...

Dawno padły zbożne kłosa,
Krwia spłynęły mnogie kosy,
Pusta niwa już.

Odpoczęła, poczerniała,
Po łzach — dawnych sił nabrała,
Nowych czeka zbóż.

Czas do pługów, czas do roli,
Rzucać siewy nowej doli,
Gospodarze. czas!

A jak pęką lody twarde,
Wzniosą czoła łany harde,
Jako bór, jak las.

Choć za pługiem wrona kracze
Na złą dolę wam, oracze —
Plon wyrośnie, plon!

Jeszcze długa, ciężka zima,
I niejeden nie dotrzyma,
Niejednemu skon.

Lecz kto plonów złotych pragnie,
Niech do pługa czoło nagnie,
Orać nam i siać!

I nie ustać w krwawym trudzie
I nie marzyć nam o cudzie:
Samym dolę brać.

A jak z wiosną słońce wstanie,
Jak rozejrzy się po łanie —
Raj-że będzie, raj!

Więc kto sieje, a kto orze —
To dopomóż Panie Boże!
Panie Boże daj!

JÓZEF MACZKA.

Ur. 1888 r. w Zaleszanach.

°

PRZYSIĘGA.

Przysięgam Tobie na cześć...
na honor — i na imię —
na honor... polskich żołnierzy!
We krwi i harmat dymie
życie mi trzeba nieść,
i umrzeć, jako należy
Za Twoje imię!

Przysięgam Tobie na Sławę —
na ojców pobojuwiska
na zbroic relikwie rdzawe
i połamanych pałaszy —
na Twe sztandary... zdobyte,
których szum w Kremlu wrogi łupem straszny —
na zgłiszcza i popieliska,
z szubienicami krwawemi —
na te krwi krople, bagnetem przybite
do krzyża ziemi!

Przysięgam Tobie na królów koronę
i na łachmany zhańbionych nędzarzy,
co szli ku Tobie w szkarłatach swej krwi,
że jako oni, do skończenia dni
bronąć Cię będę — cokolwiek się zdarzy...

Na matkę moją i na ojców cienie
i na łez onych dziewczęcych bezmiary,
że mnie nie złamią ni łzy, ni wspomnienie,
gdy przyjdzie krwawej dopełnić ofiary,

iż nie spocznę na żywot bezpieczny,
przysięgam Tobie... na spoczynek wieczny!
I oto idę na śmierć — i na życie!

Przysięgam Tobie na anielski huf —
gwiazdy na niebie i słońce w błękicie...
Przysięgam Tobie na duszę i Boga —
O Ukochanie najczystszych mych snów,
Ojczyzno droga!!!

RANNY.

Już listu nie napiszę,
ni woli mej nie powiem...
skroń cięży mi ołowiem —
odbiegli towarzysze...
a którzy byli przy mnie,
ostygli już na zimnie...

Na ziemi w ranach leżę,
a nic mnie już nie żali...
gromnicę słońko pali,
wiatr szepce mi pacierze:
„na polskiej zabił ziemi
kulami moskiewskimi...
Za Polskę legł na łanie —
Wieczne Odpoczywanie!...”

Requiem grzmia armaty —
nie czuję ran ni bólu...
„Żegnajcie mi, matulu” —
Na oczach krwawe płyty...
Kres mękom, ponieważ

krw, krw ustami płynie...
Ojczyzno — wzięłaś serce —
duszę Ci moją ninie
oddaję w tej godzinie!...

KIEDYŚ.

Kiedys... po latach — gdy scichną te fale.
które nas w wirów porwały odmęty,
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty
i łzy obeschną i scichną już żale —

Ze czcią ujmiecie pogiecie pałasze
i zawiesicie na ścianach wysoko...
i łzą serdeczną zabłyśnie wam oko —
gdy wam powiadać będą dzieje nasze.

I będzie pełny znów każdy zakątek
polskich relikwii i polskich pamiątek.

I znowu ogniem zapłoną wam lice
w nasze zmnożone, żałosne rocznice,

I w 'niebo pieśni popłynie orędzie —
kiedys — po latach — gdy nas tu nie będzie.

TADEUSZ MICIŃSKI.

Ur. 1873 r. w Łodzi.

KAIN.

Wyszła mi z boru — w złocie warkoczy,
Z twarzą indyjskiej Bogarodzicy —
W błękitnych iskrach — w srebrnej przeźroczy —
Nadksiężycowej wieszczka świątnicy...
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
Ach, — i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Jak wulkan krwawy w łonie Arymana,
Jak Samum, gdy się wichrami rozuzda —
Tak we mnie otchłań — gwiazdami przetkana,
Leciała w państwo słoneczne Ormuzda.
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
Ach, i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Nie wzbraniał mi jej smok, żelazna wieża,
Zdradny labirynt, ni królewskie ramię —
Miłość zwycięży wszystko — wszystko złamie —
Ale nie miłość drugą do pasterza.

Więc śmierć przyzwałem — i śmierć odtąd żyje —
I wszechświat cały grobowcem przywarła —
— — — — czuję mdły powiew — — —
— — — — — w oczeretach gnije — —
Z tęsknoty — u nóg mych — umarła.

Na pustej trzcinie rozpiąłem jej włos —
Nad śniącą rzeką schyliły się drzewa —
Wiatr cicho płacze — ptak mogilny śpiewa —
To los mój — los!...

Głębiny tajne pruć —
Milczenia głucho macić —
Jako stracona łódź
Od brzegu się odtrącić —
Mieć gwiazdy — gwiazdy rzucić —
I tylko piosnkę nucić —
To los mój — los!...

LUCYFER.

Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
lecący z jękiem w dal — jak głuchy dzwon północy —
ja w mrokach gór zapalam czerwień zorzy
iskrą mych bólów, gwiazdą mej bezmocy.

Ja komet król — a duch sie we mnie wicherzy,
jak pył pustyni w zwiewną piramidę —
jak piorun burz — a od grobowca cichszy
mogił swych kryję trupiość i ohydę.

Ja — otchłań tęcz — a płakałbym nad sobą,
jak zimny wiatr na zwiędłych stawu trzcinach.
Jam blask wulkanów — a w błotnych nizinach
idę, jak pogrzeb, z nudą i żalobą.

Na harfach morze gra — kłębi się rajów pożoga —
i słońce — mój wróg słońce! wschodzi, wielbiąc Boga.

ANANKE.

Gwiazdy wydały nademną sąd:
— wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd.
— Ty budowniku nadgwiezdnych wież,
będziesz się tułał, jak dziki zwierz,

— zapadnie każdy pod tobą ład —
— wśród ognia zmarzniesz — stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:
wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ład.
Poszumy płaczą mogiłnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja, budowniczy nadgwiezdnych miast,
szydę z rozpaczy gasnących gwiazd.

Bądź zdrowa! (jak dziwnie brzmi dzwon)
Bądź zdrowa! (lecą liście z drzewa...)
Bądź zdrowa! (miłość jest jak zgon...)
Bądź zdrowa! (wiatr złowrogo śpiewa...)
— *Już nigdy!* —

Rwie serce Twój płacz!
— *Wydarł się z serca niespodzianie,*
— *żegnam Cię — trzeba — i Ty Boże racz —*
— *litości...* —

W konie!... Chryste Panie!

F. MIRANDOLLA (FRANCISZEK PIK).

Ur. 1871 r. w Krośnie.

CO DUSZA WYŚNI.

Co dusza wyśni, a uczynią ręce,
Tego nie wezmą, wziąć nie mogą wrogi.
To, co powstało pod hasłem „poświęcę”,
Jak granit twardy jest tęczom pod nogi.

To, co wyrosło na światło z piwnicy,
Z lochu, zna drogę na światłość, na jaśnie.
I słońce wielkie znają męczennicy,
Co w chwili skonu na krzyżu nie zgaśnie...

Orlęta lecą tą drogą co ojce,
Nie ginie nigdy żadna ducha praca...
Więc się w obozy zmieniają ogrojce...
I wiosna zawsze powraca.

ŁÓDŹ AKKADÓW.

Stworzenie jest samotną łodzią, porzuconą
Na bezmiernym, przecichym oceanie smutku...
Wiatr ją dziwny, zaziemski pędzi pomalutku
Poprzez toń, w której chwile, lata, wieki... toną.

Tak wierzyli i poszli, z duszą utęsknioną
Do życia w ciemń niebytu ludzie zapomniani.
Odeszli — z najwyższej nie dojrzysz ich grani,
Ni orły ich nie dojrzą... ni gwiazdy, co płoną.

Zmarli, łkający dawno w to ciche przedwiecze
I łzom ich na pamiątkę niema dzisiaj głązów,
Ni świątyń, ani kutych na spiżu obrazów...

Widzę ich w dali wieków, jak dziwnemi słowy
Wielbią słońce, nadzieją dzień witają nowy...
Sprzęgnięci z mojem w jedno... Te serca człowiecze.



STANISŁAW MIŁASZEWSKI.

Ur. 1886 r.

Wzrok wbiłem w szare, jak zwątpienie, prochy,
słuch pogрузyłem w wiatru beznamiętnym świcie —
i oto do stóp moich klon otrząsnął liście:
krew cud-dziewczyny, mrącej pod nożem macochy.

Wzrok poczuł u rżęs skrzydła i wzbił się ku górze,
mgły, jak bunt w krwi męskiej, lub żądza w kobiecej,
ponad nim w bronzie, miedzi, złocie i purpurze
liście witały jesień, jak potyczkę Grecy.

Przygarnąłem jednego z tej straceńczej młodzi,
ale mi zadrgał w ręku, jak ptak, co ulata...
Leć, leć! kołysz się w wiatru charonowej łodzi,
zanim spocznieś na śniegach, na siwiźnie świata.

NIEPOTRZEBNY KOŚCIOŁEK.

Barokowych uśmiechów nie mając na zbycie,
winienesz był, kościołku, schronić się najdalej
od ulic pierwszorzędných, choć na twym habicie
ludzie afiszы wtedyby nie przylepiali.

Na uboczu, zepchnięty w zaułek ponury,
nie raziłbyś twych murów kolorytem zgrzebnym,
a zapomnianych domostw wielbiłyby chóry
ciebie, żeś jest potrzebny tylko niepotrzebnym.

Tutaj twój cień, podobny do arki szerokiej,
co ranka bruk uliczny, jak mielizna — pęta,

i nie mogą, zbląkane w zbyt płytkie zatoki,
ku ziemiom obiecany płynąć prazwierzęta.

Lub zdasz się u wysp wrogich rozbitą fregatą,
(gdy cię zmniejszając — słońce południowe praży),
gwar uliczny, to tryumf nad twoją zatrąta,
barko przybrana w skalpy świętych misjonarzy...

Widzę cię tutaj, w damskich konfekcyj poblizu,
i prośba histeryczna z gardła się wydziera:
zabierz, zbyteczna arko poety z Assyżu,
tego, co omnibusom był za pasażera!

DZIECI W OGRODZIE.

Bardziej, niż bujnych liści zielenią coroczną,
odmładza się park nóżek dziecięcych tętentem,
gdy z piłką lub obręczą harc wiosenny poczną,
a z niemi śmieszny jamnik z uchem odwinieć.

Wdzięk swobody helleńskiej, u dziewczątek zwłaszcza,
wytryska niemal z każdej buzi rozognionej...
Jaka szkoda, że przyszłość wam go zaprzepaszcza,
— pracowitych żywotów doczesne korony.

Jaka szkoda, że święty obowiązek wkrótce
podepcze złudne prawa młodzieńczej beztroski
i wdzięk jej ciąc z was będzie, przy lada robótcie,
jak rygor szkolny dzieciom kędzierzawe włoski.

W cieniu drzew dzieciom dobrze, jak pod okiem matek,
gwar rośnie, choć sarkają piastunki i bony;
przy nich klęcząc na ścieżce, marynarz trzylatek
chwyta krążek słoneczny, w cieniu wyłożony.

MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI).

Ur. 1861 r. w Radzynie.

NEGLI OCCHI PORTA LA MIA DONNA AMORE.

I.

Jam ci nic nie powiedział, ani ty mnie, Pani,
A jednak kiedy nasze spotkają się oczy,
Ja słodycz niezmierzoną w twych widzę przezroczy,
Słodycz, jaka zbawieniem byłaby w otchłani.

I wtedy czar mię jakiś owiewa uroczy,
I szepcę, wszystkie myśli niosąc tobie w dani:
„Błogosławieni wszyscy smutni i znękani,
Których takie spojrzenie swą wstęgą otoczy!”

I tak mi cicho w duszy, jak pod wieczór w borze,
Gdy drzew gąszcz czerwienią zachodowe zorze,
I tak mi w duszy tęskno, jak kiedy na niebie

Konstelacje rozbłysną oczami złotemi,
A ja dla nich nie mogę rzucić starej ziemi
I lecieć, lecieć, lecieć!... Czyżbym kochał ciebie?

II.

Tyś mi nic nie mówiła, ani też ja tobie,
A jednak, gdy się nasze spotkają źrenice,
Jakieś w mych widać grają ognie, błyskawice,
Jak o wiosennej wzruszeń, burz, nawałnic dobie.

Bo naprzód w łez djamenty oczy twoje zdobię,
Potem w żywsze róż barwy ubieram twe lice,

A potem — sam już nie wiem, jak blaski rozświecę,
Co drgają w oku, w głowie, w całej twojej osobie.

I stoisz tak przedemną, drżąca, bez wyrazu,
Nakształt madonny słodkiej jasnego obrazu,
A twarz twa to w purpurach, to znów jak śnieg biała.

A ja — patrzę z zachwytem w ten blask objawienia,
Co dziewicze twoje czoło nagle opromienia
Wdziękiem niewysłowionym... Czyżbyś mnie kochała?

OGIEŃ ŚWIĘTY.

Ubogi z głazów ołtarz ich pośród olbrzymich stał menhirów,
A śpiew ich smętny miał za wtór oceanowych łoskot wirów.
Z zielonych swych, szumiących puszczy przynieśli tu nad mór
odmęty,

Praojców wiarę w głębi serc — i niegasnący ogień święty.
Gdy padł ostatni czczony dąb, liściastą swą powiawszy szatą,
Odeszli precz, bo oczy ich nie mogły dłużej patrzeć na to,
Jak dawnych bóstw skrzydlatych rój w dal gdzieś odpływał
widm orszakiem,

A lud pokorny chylił skroń przed nową wiary obcym znakiem.
W najdalszy, cichy kraju kąt unieśli swe najdroższe skarby
I, pielęgnując święty żar, między skalnymi żyli garby.

Wierzyli tak, iż żadna moc nie mogła złamać tej ich wiary:
Że przyjdzie dzień, gdy w łonach puszczy odżyje znów świat
bogów stary,

Gnomy i elfy w dziuplach drzew, straszne w pieczarach
gór olbrzymy,

Że znów zaszumi dębów gaj, w niebo się objął wzbijają dymy
I lud porzuci obce sny, ukocha znów przeszłość, jasną —
Jeśli tak ognia będą strzec, że święte żary nie zagasną

Bo w tem zarzewiu siła tkwi, pewniejsza wiele od oręży.
Co przerwie sen, oświeci błąd — nieufność, opór przezwyćięży;
Moc cicha w niem zakłęta śpi, moc święta ducha wszęgo ludu,
Póki w niem jedna skra się tli, można z ufnością czekać cudu.

Mijały dnie, szeregi lat. W skwarne południa, mgliste noce
Druidów orszak czuwał wciąż nad świętym ogniem na opoce;
Oblicza im poczercił dym, zgrubiały dłonie od mozołów,
Bo trzeba było nosić drwa — het — z oddalonych gór
wierzchołów.

Pot lał się z czół, z ócz krwawe łzy płynęły, w brózdę
krając lice,
Gdy własną piersią święty żar trza było chronić w nawałnicę.
Lecz mężnie trwali w pracy swej, wiara krzepiła ich, że strzegą
Ogniska myśli, uczuć, cnót, przyszłości całej ludu swego.
Marzyli wciąż, że ujrzą dnie przeszłości się odradzające —
I widział wokół lud co noc ich ogień, jako krwawe słońce...

Lecz przyszła chwila, kiedy stróż, co stał z kolei u ołtarza,
Krzyk trwogi wydał, że brak drew, a ogień święty się dożarza.
Druidów grono zbiegło się, aby usłyszeć wieść straszliwą,
Że nastrojony wrogo lud broni im z lasów brać paliwo.
Zgroza! więc ogień zgasnąć ma? Ból im szalony zmysły miesza!
Nadzieja złudną była więc? — z rozpaczą szepce cała rzesza.
Lecz arcykapłan woła: Nie! Ta ostateczna klęska wieści,
Że już się zbliża koniec zła, i trudów naszych i boleści.
Odwagi, bracia! Blisko świt! Aby nam zorza zajaśniała!
Wytrwania tylko kilka chwil! Paliwa brak? — A nasze ciała...

Jeden po drugim szli na stos, a każdy pośród mąk konania
Pytał, czy z dali nie brzmi głos, głos odrodzenia,
zmarłychwstania,
Czy już nie szumi dębów gaj, czy objat się nie wznoszą dymy,
Czy nie odżywa świat ich bóstw?.. I w ogniu marli tak,
olbrzymy,

Aż arcykapłan został sam... Widział męczeńską śmierć
współbraci,

A nie miał dotąd żadnych wróżb, że ich ofiarę los odpłaci,
że się marzony spełni cud... Jednak nie wahał się ni chwili.
Może tam już się budzi lud?... Może śmierć jego — los przesili?
I wstąpił na ofiarny głąz...

TADEUSZ NALEPIŃSKI.

Ur. 1879 r. w Petersburgu.

KRÓL - ZBRODNIARZ.

I.

Raz wytęskniłem purpurowe oczy.
Po całym świecie rozesałem gońce,
Sam plotłem sznury z czerwonych warkoczy.

Zanim potrzykroć zgąsło rude słońce,
Słudzy przywiedli mi bladą dziewicę,
Co miała oczy, jak węgle żarzące.

W nocy ciskała niemi błyskawice,
A wszak gdy tylko ranek zajrzał siny —
Pobladył oczy jako dwa księżyce...

Przeto wtłoczyłem miast oczu — rubiny.

II.

W zakłęte państwo błękitnych ogrodów
Po rozsrebrzonych księżycowych piaskach
Wiodłem swą panią pierwszej nocy godów.

Jej złote włosy mdlały w złotych blaskach,
A ciemnych oczu przepastne otchłanie
Po smutnych tui błąkały się kaskach...

W kwiatów przewonne wiodłem ją posłanie,
A gdy klęknąłem przed mych snów zagadką,
Rzekły jej oczy: niech się wszystko stanie...

Zabiłem ją, gdy miała zostać matką

III.

Jedną ją może kochałem... Nie ciało
Nad marmur bielsze, a jak sen pieściwe,
I nie jej duszę wniebowziętą, białą...

Kochałem włosy, co jak węże żywe,
Jak złote węże wiły pierś lubieżną,
Niesyte pieśczot i ust wiecznie chciwe.

Raz ukazałem ludowi mą śnieżną...
Od wrzasków: „Bóstwo!” zadrżały podwoje
I wnet tęsknotę poczułem bezbrzeżną...

I jezior toń wchłonęła złoto moje.

IV.

W północne wody łódź mą skierowałem,
-Wśród skrzących lodów wędrowałem stali,
A dusza moja wiosłem była białem...

W nocy słyszałem, jak się Północ żali,
Jak morzem ścięta oceanu kora
Kawałki ciała strząsa z biegiem fali...

Troska przypadła tam widmem upiora.
Lodowa pani zamarzłej Północy,
Co noc na pierś mą pełzła jako zmara.

Ssałem z jej piersi krew — nie miała mocy.

V. *Wiosna*

Nad las dziewiczy mój kochałem trzęsawiska,
Gdzie smutku czarną pieśń sączyły mszyste błota,
A po konarach drzew tęsknota pełzła śliska.

Ku jasnym szczytom wzwyż szarpała mię tęsknota,
Gdy księżycowy blask po liści chwiał się falach,
Lecz nienawistną mi pieśń słońca była złota.

Więc niewolników tłum (jeden jest tylko Allach!)
Rozsadził nowy las: kazałem rabiej tłuszczy,
By nagich hurys stos — na ostrych wzniosła palach.

I krwawy smutek mój zamieszkał w nowej puszczy.

VI.

Jaśminu woń przy woni biódr jej bladła,
Pieszczoty oczu skrzydłem białych mew
Muskały duszę... jak senne widziadła,

Kochałem piersi jej łabędzich wiew,
Kochałem sen... z dalekich wysp słyszałem
Lilij jej ciała przenajświętszy śpiew...

A raz dreszcz ognia szarpnął mojem ciałem —
Pożarnej żądzы wdarł się w serce sęp...
Nie tknąłem jej — swych białych snów się bałem.

Więc bat siepaczów rwał ze snów tych strzęp.

VII.

Żar ciał kobiecych lodem mnie zamrażał,
Wilgotne usta, jako tulipany
Rozwarte-m kasał, chłód ich mię przerażał.

Więc złodowaciał duch — jak obłąkany
Tęsknił za ogniem, coby lawą nową
W gasnącem sercu rozdmuchał wulkany

Aż czyn zajaśniał — zanim przyszło słowo:
Oto w noc jasną, sztywniejszy od słupa,
Jak anioł śmierci w pustkę-m szedł grobową.

I na cmentarzu odgrzebałem trupa.

VIII.

Zginęły wszystkie — ciał ich boskich stopy
W girlandy kwiecia przybrałem paproci
I brylantowe rozproszyłem rosy.

O, jakże dziwnie włos się martwych złoci...
O nie!... nie mówcie, jako twarz się mieni,
Jak łyska uśmiech pogrobowy koci!...

Moc moja większa od trupiej zieleni?...
Cud nowy sam lepiłem z wosków pszczelich
I cud-dziewicę pchnąłem w głód płomieni — —

Gorze!... ostatni mej goryczy kielich!...

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

Ur. 1872 r.

RONDA

I.

Czarą wina bądź mi, Marysienko,
Równie słodką, gdy się pić poczyňa,
Kiedy żaru bucha z niej lawina —
Jak i wówczas, gdy już widać denko...
Przygarnianą zawsze chciwą ręką
Czarą wina.

Kiedy żal i ból krew w żyłach ścina,
Gdy jesienny smaga deszcz w okienko,
Bądź mi tą, co godzi z życia męką,
Czarą wina.

A gdy wreszcie ziemską we mnie glina
Przepaloną stanie się i cienką,
Nim śmierć dłonią mnie przytuli miękka,
Bądź ostatnią jeszcze, o jedyna,
Czarą wina!

II.

Krwi twojej tętno w licach mi się płoni,
I widzę Ciebie, jak w tę noc pamiętną
Z rozwianym włosiem i żrenicą mętną,
Rwanym oddechem i płomieniem skroni
I usta, które k'moim ustom kloni
Krwi twojej tętno.

Każesz i będę miał twarz obojętną,
Choć tęskny topię wzrok w twych źrenic toni,
Choć mym pragnieniom niczego nie broni
Krwi twojej tętno.

Tylko w godzinę zadumania smętną,
Kiedy odwieczerz słońca blask przysłoni,
A głos twój luby duszę mi rozdzwoni —
W pieśni mej nutą ozwie się namiętną
Krwi twojej tętno.

III.

Przed laty, w najpiękniejszy czas
Młodości mojej w sny bogatej,
Wiodłaś mnie w jasne szczęścia światy
I pod urokiem twoich kras,
Jak przez zaklęty szedłem las —
Przed laty.

Lecz życia podmuch lodowaty
Cudne marzenia zwarzył wraz
I rozwiął sen, co poił nas —
Przed laty.

Dziś — gdy nie wróci nic tej straty —
Nim pod mogilny legnę głaz,
Chciałbym przez chwilę, jeszcze raz
Śnić, jak u skraju twojej szaty --
Przed laty.

IV.

Twoje włosy, gdy opadną falą
Ciemno-złotą, jak pszeniczne kłosa,

Tchnącą aromatem, jak pokosy
Uśmiechniętą rozesłane halą —
Olśniewają wzrok, krew w żyłach palą
Twoje włosy.

Wonne, miękkie, jako leśne wrzosi
— Gdy mi pierś zakrwawisz źrenic stałą —
Zda się, że się rosą łez kryształą
Twoje włosy.

Gdy wzrok topię w oczu twych niebiosy,
A duch marzeń ulatuje dałą —
Mego szczęścia zdają się być szalą,
Mej przyszłości zdają się kryć losy
Twoje włosy.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Ur. 1864 r. w Rokitnicy.

BRANKA.

W całej wiosce dymią czuby,
A w karczmisku ćma narodu!
Każdy pije jak z zawodu
I smalone plecie duby.
Rok poczekasz, bracie, czasem,
Nim rozhasasz się tak dziko,
Nim się spotkasz z tym hałasem,
No i z taką pijatyką.
Wiesz okrutnie się rozżarła —
Jezus, Marja! jakby solą
Bies zasypał ludziom gardła...
Człowiek świat zna nie od wczora,
Z niejednego dał gąsiora,
Lecz takiego coś nie baczy —
Toż ludziska dzisiaj smolą
Jak na umór, jak z rozpaczy!

I to nie są ślubne gody,
Choć muzyka bez ustanka
Dudni głucho i kto młody
Hula, pije, dmie w zawody,
Ale to jest we wsi branka!
Stąd zaciętość wszędzie taka.
Każdy smoli poniewoli,
Jakby zalać chciał robaka...

Grajcie grajki, wódki, żydzie!
Jezus, Marja! toż to idzie!

Dudnią basy, a na dworze
Huczy nocna zawierucha,
Hej, wytrzymać człek nie może
I zaczyna tracić ducha...
Jakoś wszystko w nim się kłóci...
Skrzypak żali się na dudzie...
Każdy czuje, że gdy pójdzie,
To już taki sam nie wróci...

W tej muzyce chór szatani
Jątrzy serce, łeb tumanil —
Tam dziewczuchy rzędem siadły,
Nieco zmiłkły, nieco zbladły,
Pospuszczały w ziemię oczy,
A tu z oczu łza się toczy...

●
Oj, nie płaczcie — próżne płacze,
Nie tak straszne dni wojacze.
Brańcy pójdą w świat, daleko,
Tam w mundury ich obleką.
Toż chłopaków nie poznacie:
Zuch w obozie — prostak w chacie!
Gdy gród wielki zamajaczy,
Gdy zadzwoni szumnie szklanka,
Pierwsza lepsza markietanka
Pamięć dziewczki śmi wieśniaczej...
Co tam płacz! Gdy bój gruchnie,
Chłopak prosto w ogień ruszy,
Ha, to będzie raj dla duszy!
Pierwsza lepsza kulka zdmuchnie...
Komu wtedy radość, płacze,
To kruk-poseł wczas zakracze...

Jezus, Marja! Wódki, żydziel!
Toż to idzie, toż to idzie!...

Hola skrzyplik! Tam, do licha,
U ścian starzy siedzą z cicha;
Chociaż tego smolą kołem,
Ale milczą jak z urzędu...
Przepocony włos nad czołem,
W zblakłych oczach ćma obłądu...

Cóż wam, starzy?... Czy żal gnębi,
Że na marne tyle młodzi
W jakiś obcy świat odchodzi,
Gdzie im serce chłód wyziębi?
Że zapomną ojców mowy
I prostoty swej wioskowej?
Żal wam tylu rąk do pracy?
Żal wam ziemi opuszczonej?
Cóż wy wiecie!... Ci chłopacy
Będą zwałać, dźwigać trony!
Z czarnym orłem ponad skronią
Śród tryumfu świat przegonią!
Słysząc, z Niemcem będą boje,
Niemiec naszych gnębi srogo —

Toż więc chłopskich brańców roje
Wojska Niemców bić pomogą!...
Będzie wojna straszna... krwawa...
Grzmiały armaty... szereg stawa...
Ale stójcie! Śród szeregu
W obcych pułkach bratnia mowa!...
Ćmi się w oczach, pęka głowa,
W krwawym dymie świat się traci,
Rwą z bagnietem pułki w biegu,
A ty chłopie rzniesz swych braci...

Jezus, Marja! Wódki, żydziel!
Toż to idzie, toż to idziel!...

Dymaj grajku wprost do czarta!
Granie takie nie do słuchu...
Pełno dymu i zaduchu —
Czemu karczma wciąż zaparta?
Drzwi wywalciel... Ha, jak parno!
Trochę wiatru, trochę burzy
Rozpalonej piersi służy, —
Szumią wierzby — mrok — szaruga
Jakże czarno, jakże marno!...
Tam blask widny przez opary,
W oknach dworku światło mruga.
Gdzie pan mieszka, siwy, stary.

Hej, ty panie, jasny panie,
Coś marsowo twarz się chmurzy.
Czy syn gotów do podróży,
Że pierś starą wstrząsa łkanie? —
Tam na ścianach malowidła
Twoich przodków rzędem wiszą,
Wieczór z kątów powiał ciszą,
Pył husarskie okrył skrzydła.
Jakże dufni ci rycerze,
Ci obrońcy ziem narodu!
Jakże straszny żal cię bierze,
Jasny panie, z ich zawodu!...
Pytaj głuchych malowideł:
Gdy tak rwali się do czynu
Śród wolności czczych mamideł,
Czemu z więzów swego gminu
Nie rozkuli do obrony?....
Dałażby to dziatwa Piasta,
Racławicki lud oraczy,
Co brał działa z pod kartaczy,
Wydrzeć sobie z rąk zagony,
Gdzie nadzieja kłosem wzrasta?!

Ale krwią wzgardzono gminu,
Panom tylko liść wawrzynul
Gdzież ten wawrzyn dziś, niestety?
Kiedy wieszasz, czcisz portrety.
Więc za przodków i z krwi własnej
Zdaj rachunek, panie jasny...

Jezus, Marja! Wódki, żydzie,
Toż to idzie, toż to idziel...

Bęben warczy, trąbka dzwoni,
Słychać pochód, rżenie koni,
Chmura wojska już się zbliża —
Pożegnajcie znakiem krzyża!
Cicho dziewczki! Cicho matki!
Miast kościołów są pałatki...
Cicho stary! Cicho zrzęda!
Wszelkie węzły rwie komenda...
Cicho wierzby! Cicho dzwony!
Coś zatapia w sercu szpony,
Coś zimnego z twarzy ścieka...
Front!... Hej, człowiek do człowieka!
A już teraz w tym szynelu
Pójdiesz chłopie, gdzie rozkażą,
Wszystko spełnisz z niemą twarzą...
Nawet — gdyby tve ojczysko
Jęło zbierać, jak Głowacki,
Zbuntowany naród lacki
I pod lufę wpadło blisko —
Nie drgnie dłoń, nie chybi celu...

Jezus, Marja!... Wódki, żydzie!
Toż to idziel... Toż to idziel...

FRANCISZEK NOWICKI.

Ur. 1864 r. w Krakowie.

TOWARZYSZOWI PODRÓŻY.

Wzdłuż, wszereż Tatry przebiegłem — on wszędzie u boku!
Uciekałem przez lasy, hale i doliny,
Przez pochmurne skał czoła, przez jezior głębiny,
Daremnie! On mi wszędzie dotrzymywał kroku.

Skakał za mną przez jary, przez grzbiety potoku,
Śniegi czernił swym cieniem, mglił widok z wyżyny,
Przy świetle gwiazd i ognia liczył mi godziny,
Świt płonący na górach ściemniał memu oku.

Rozpacz gnała mię w paszczę burzy rozszalałej,
Gdzie ząb gromu druzgotał granitowe wały,
Gdzie grad kamienny huczał, on... szedł za mną śmiały!

W ciszy pustyń, w burz ryku, w jasny dzień, w noc ciemną,
Wszędzie zawsze biegł za mną — pierzchałem daremno!
Dziś wracam znów do ludzi, on — mój ból, — znów ze mną...

WŁ. ORKAN (SMRECZYŃSKI).

Ur. 1876 r. w Porębie Wielkiej.

INTER ARMA.

Na ziemię zstąpił krwawy mrok —
Stal jeno niebu świeci —
I nic nie dojrzy boski wzrok,
Krom srogiej walk zamieci.

Obozem stanął ludzki ród,
Wszech — przeciw sobie — zbrojny —
Powietrze, lądy, dale wód
Pełne rozgrzmołu wojny.

Wichr nienawiści rozmiótł skry
Od wschodu do zachodu —
Powietrze huczy, ziemia drży
Od mnogich wojsk przechodu.

Olbrzyma stalne wgnioty stóp,
Wszystko kruszące na nic —
I przechodzący ognia słup
Od granic ziem do granic.

Zażęł się spadły wokół skłon
Łunami czerwonemi —
Jęczy pogłosem niebios dzwon
Nad krwawym szaleńcem ziemi.

Świadomych grozy ludzkich spraw
Strach ziemski zdjąłby bogi,
Gdyby ich oczom stanął jaw
Tej przeolbrzymiej zmogi.

Ares, on chciwy mordu bóg,
Śledzący ninie boje,
W lęku cofnąłby się za próg
I precz odrzucił zbroję.

MARSZ STRZELCÓW-LEGJONISTÓW

I.

Hejże orlęta!
Na polskie zlećcie łany,
Zrywajcie pęta!
Kruszcie, kruszcie kajdany!

W lot! — niechaj skrzydła zaszumią
Hen! — ponad strzechami chat —
Niechaj ocknięci zrozumią,
Że Wolność uszła z za krat!

II.

Dalej, ochotni!
Już kordon jest za nami —
Żwawi i lotni
Przejdziem, przejdziem pułkami.

Marsz! — kraj przed nami otwarty
Hen!... za Wisłę i Bug —
Ten kraj wymazany z karty
Krwia nam odkupi wróg!

III.

Naprzód żołnierze!
Do sławy nasze kroki —

Bagnelem szczerze
Czyńmy, czyńmy wyroki!

Marsz — za nami idą masy,
Hen — ze wszystkich Polski stron —
Przez nas odwróć się czasy,
Zadrży moskiewski tron.

ŁĄKI I KWIATY MOJE.

Popiołem powiał czas na łąki moje.
Już nie grają w słońcu tak radośnie,
Już nie zakwitają tak o wiosnie —
Łąki moje...

Przymrozem spalił czas kwiaty moje,
Przymrozem spalił młode pąki,
Popiołem z kwiatów mych powiał na łąki
Łąki i kwiaty moje...

OR-OT (ARTUR OPPMAN).

Ur. 1867 r. w Warszawie.

ZA KROPLĘ MOJEJ NIEMIECKIEJ KRWI.

Nad moją młodą, dziecięcą skronią
Latały echa rycerskich lat,
Wiał na chorągwi Orzeł z Pogonią
Od pól Grochowa, gdzie stał mój dziad:
Od pól Grochowa z wałów Warszawy
Mam list żelazny puścizny krwawej
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

Ta krew, z Turyngji rodem dalekiej,
Dawno wyciekła wśród polskich dróg,
Żyli my razem długie dwa wieki,
Pod armat paszczą spłacając dług. —
I znam tradycje sybirskich lochów
Z błogosławieństwem samotnych prochów
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

Bo tyś umiała, o, Polsko święta,
Duchów być panią w swe krwawe dni,
Na sen o sławie, na śmierć i pęta
Za Ciebie obcy tak dumnie szli!
Ach, tak jak oni, z pałaszem w dłoni
Marzyłem umrzeć w Jutra pogoni —
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

I te piosenki, co się budziły,
Z tęsknoty w sercu zrodzone mem —
One natchnienia brały z mogiły,
Skrwawionych grobów tętniły tchem...

O tych umarłych, co we łzach drzemią,
Szczere ci piosnki składałem, ziemio —
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

Bo pieśń niczego nie zapomina,
Co było piękne i poszło w grób!
A ty je przyjmiesz — Matko — od syna
Na wiekuistej miłości ślub!
Ojczyzno moja! Męki Królowol
Do stóp Twoich krwawych przypadam głową —
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

A jeśli kiedy, o ludów świecie,
Będzie potrzeba ofiarę nieść,
To ci, o ziemio, złożę swe życie,
Byle usłyszeć czekaną wieść!
I na tej świętej, rodzimej glebie
Z uśmiechem szczęścia oddam za Ciebie
Za kroplę mojej niemieckiej krwi!

ULICZNA PIOSNKA.

Uliczna piosnka, urodzona —
Nikt nie odgadnie gdzie —
Z zaułków miejskich skrada się
Na ludne targowiska:
Piorunów zemsty nie ma ona,
Ani wściekłości lwiej;
Gryzący dowcip bije z niej,
Ironja gorzka tryska...

Uliczną piosnkę młode usta
Już nucą tu i tam,
Leci do okien i do bram
Niepochwycona, lekka;

Błednie mieszcuchów twarz, jak chusta.
Bo ten hłasty śpiew
Pachnie, jak świeża, ciepła krew,
Stryczkiem go czuć zdaleka!

Uliczna piosnka, taka drwiąca,
Wpada w nędzarzy tłum,
Gniewliwy stwarza zgiełk i szum:
O to jej chodzi właściciel
W otchłanie rzuca promyk słońca.
Na sercach ludu gra;
Już każde dziecko piosnkę zna
I szepce ją, nim zaśnie.

Uliczna piosnka z suteryny
Obiegła ludny gród,
I do królewskich puka wrót,
Do stóp złotego tronu:
Zrywa się władca z gniewu siny.
Skrzy mu się wzrok, jak lont,
Każe ją chwycić, wlec na sąd:
Ściąć piosnkę bez pardonu!

Pędzą drabantów czujne straże,
Idzie z toporem kat,
Na rusztowaniu stanął rad,
By piosnkę ściął lub spalił. —
Lecz nim wybiła na zegarze
Godzina kaźni jej,
Od lekkiej, drwiącej piosnki tej
Królewski tron się zwałił!..

O ZABITYM ŻOŁNIERZU.

Legł na placu z krwawą w piersi raną,
Trumną był mu szary płaszcz żołnierza.
Płaczem wierzb szmer cichy, jękliwy.
Co się wichrom a echem powierza.

Nie tuliła go matka, ni siostry,
Krzyżem ojciec nie zęgał do trumny.
Jeno na sen go wiodły wieczysty
Czarnych ptaków skrzydlate kolumny.

Nikt mogiły krzyżem nie wyznaczył,
Nie wypisał imienia na blasze —
Płytkie łożo w rozerwanej roli
Wykopały kolegów pałasze.

Ręce na krzyż złożyli mu sine
I Chrystusa w cierniowej koronie,
Co swą śmiercią zbawienie chciał kupić,
Żołnierzowi dali w martwe dłonie.

A on spokój miał taki na licu,
Jak ten Chrystus w ostatniej godzinie, —
Taki spokój miał, jak gdyby wierzył,
Że dla szczęścia Ojczyzny swej ginie.



BRONISŁAWA OSTROWSKA.

Ur. 1881 r.

KRÓLEWICZ MAJ.

Otwórz, dziewczę, ktoś cię woła:

To królewicz maj!

Pęki blasków ma u czoła

I porannych mgieł zawoje.

Otwórz, dziewczę, okno twoje —

To królewicz maj!

Patrz, gałęzią czeremichową

Puka w okna twe

I kochania cudne słowo

Śle z jutrzienką do twej chaty...

Zbudź się, dziewczę — maj skrzydlaty

Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz nic, dziewczyno?

Czy nie czujesz nic?

Pocałunków szmery płyną,

Jak piosenka wiosny pusta...

Czy ci we śnie nie drżą usta?

Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,

Nie przerywa snu?

Upojeniem szumią gaje,

Upojeniem ziemia płonie...

Czy ci krew bijąca w skronie

Nie przerywa snu?

Zbudź się, cicha i pragnąca,

Niech nie czeka maj!

Z pocałunkiem złotym słońca,
Z pieśnią bujną, niby wino,
Niech nie czeka maj, dziewczyno —
Niech nie czeka maj!

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

(Historja moralna o trzech siostrach i bogatym królewiczu).

Posłał siostry trzy pan w babie lato na łan:
Która nici najwięcej umota,
Tej dostanie się korona złota,
Tej dostanie się korona złota.

Strój se godny ma zwić ta, co panią ma być,
Niechaj szatę z pajęczyn uszyje,
Jakiej oko nie znało niczyje,
Jakiej oko nie znało niczyje.

A jesienny był czas i z wiatrami pod las,
By ze szatek anielskich len białe,
Pajęczyny we słońcu latały,
Pajęczyny we słońcu latały.

A jesienny był czas i z wiatrami pod las,
Bydło z rykiem ciągnęło pod zorzę
I żórawie leciały za morze,
I żórawie leciały za morze.

Więc najstarsza z trzech dziew siadła w cieniu wśród drzew,
Pajęczyny zbierała te siwe,
Co opadły na łąkę, na niwę,
Co opadły na łąkę, na niwę.

A zaś średnia w ten czas szła na wygon pod las,
Obaczyła z fujarką pastucha,

Więc przysiadła opodal i słucha,
Więc przysiadła opodal i słucha

A najmłodsza szła wkrąg, wśród ugorów i łąk,
Obaczyła sznur długi zórawi,
Jak we słońcu jesiennem się pławi,
Jak we słońcu jesiennem się pławi.

W ślad za niemi precz szła, nad polami by mgła,
Aż jaśniała po sobie od słońca,
Za ptakami na wyraj lecąca,
Za ptakami na wyraj lecąca.

A gdy przeszedł już dzień i na pola zszedł cień,
Powracały trzy siostry do chaty,
Że to jedzie królewicz bogaty,
Że to jedzie królewicz bogaty.

Starsza przodem w dom szła, kłębek nici już ma,
A raduje się w drodze a chlubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi.

A zaś średnia szła z nią, oczy żarem się skrzą.
Nie chwytala z pastuchem pajęczyn,
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn,
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn.

A najmłodszej z nich wkrąg, u koralu i wstąg
Nitki lśnią jak haft słońca bogaty.
I tak wraca świecąca do chaty —
I tak wraca świecąca do chaty.

Pan przyjechał na dwór do rodziców trzech cór.
A że młodsza najpiękniej rozkwita,
Więc się do niej obraca i pyta,
Więc się do niej obraca i pyta:

Takaś piękna jak cud, słońcem świecisz od wrót —
Czyś pajęczyn zebrała już wiele,
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele,
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele?

A ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce:
Miałam zbliśka to słońce złocone,
Schowaj, panie, twą złotą koronę,
Schowaj, panie, twą złotą koronę.

Więc przed średnią pan wstał, złoty pierścień jej dał:
Ty mi będziesz kochanką i żoną,
Kraśna dziewczko, już tak ci sądzono,
Kraśna dziewczko, już tak ci sądzono.

Lecz ta, płonąc by mak, odpowiada mu tak:
Niechaj siostra ci żoną ostanie,
Ja innego miłuję już, panie,
Ja innego miłuję już, panie.

Chcę w chałupie z nim żyć, z ust mu słodkość chcę pic.
On mi śpiewa za wsią na wygonie,
Pasający tam bydło i konie,
Pasający tam bydło i konie.

Pan odwrócił swój wzrok i ku starszej szedł krok.
A miał lica okrutnie ssepione,
Bo nie była urodna na żonę, *
Bo nie była urodna na żonę. —

Uśmiechnęła się doń i podała mu dłoń.
Kłębek ręką trzymała już drugą.
Żyła z panem szczęśliwie i długo,
Żyła z panem szczęśliwie i długo.



JAN PIETRZYCKI.

Ur. 1880 r.

UPOJENIE.

Drżą kwiatów srebrne okiście
Na wietrze...
W miesięcznym blasku wciąż bledsze
Drżą liście...

Wiatr na rozgranej drzew lirze
Pieśń gędzie —
Budząc w jeziora szafirze
Łabędzie...

Upojny powiew rozchwiewa
Traw plusze —
Dusza się moja przelewa
W twą duszę!



JÓZEF RELIDZYŃSKI.

Ur. 1886 r.

ROTA.

Brygadjerowi Piłsudskiemu.

Pójdziemy naprzód, nigdy wstecz,
ze starem hasłem naszym!
w krwi Pospolitą tworząc Rzecz
bagnetem i pałaszem,
rosnącą szlakiem naszych dróg —
tak nam dopomóż Bóg!

Jako lawina śnieżna z gór
na łeb spadniemy wroga;
o piersi naszych żywy mur
rozbije się czerń sroga,
by fale mórz o skały próg —
tak nam dopomóż Bóg!

Na kresach pełniąc czujną straż,
wytrwamy, Polsko, wiernie,
czy laur uwieńczy sztandar nasz,
czy go oplotą ciernie,
Wolności Twej my krwawy pług —
tak nam dopomóż Bóg!

Zbrój się, Narodzie, zbrój się, zbrój!
Zygmuntów dzwon Ci dzwoni!
o wojsku śpiącym sen się Twój
dziś jawi... Hej! do bronii!
pierzchnie śmiertelny przed niem wróg —
tak nam dopomóż Bóg!

Zbudź się! Kajdany rdzawe rwij!
Na polską glebę żyzną
posiejem krew i z onej krwi
rozkwitniesz nam, Ojczyzno,
w słońcu, co lęgnie Ci u nóg —
tak nam dopomóż Bóg!

JÓZEF RUFFER.

Ur. 1878 r. w Żółkwi.

PIES.

Ja miałem kiedyś swoją budę — lecz w nocy raz głośzący huk
Obudził mnie obuchem w głowę — i rozszalała masa wód
Na moje wpadła legowisko — i darmo przeżył się mój trud,
Daremnem się z żywiołem wściekłym o swoją budę gryzł i mógł.

Zatopił mi ją, a mnie porwał i z rykiem tryumfalnych trąb
Zwycięzonego niósł na barkach i z mych wysiłków marnych
drwił —

I oszołomion dzikim pędem, zgębiony zabaczyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mnie na straszną głąb.

Na morze rzucił mnie, na morze, co jak pustynia leży wkrag
I myśli, żem się tych obszarów bezkreśnych, pustych morza
złakł —
Że będę, łeb ku niemu tężąc, z wściekłości i rozpaczy wył!

Nie będę wył!! — Na żywioł morza, co taki groźny wkoło legł,
Mam — Pies potężny — morze Mocy, huczące burzą skroś mych
żył —

Mnie stanie tchu i łap mi staniel i mój jest niewiadomy brzeg!



LUCJAN RYDEL.

Ur. 1870 r. w Krakowie, zm. 1918 r.

PROMETEUSZ.

Nakształt rozpostartego sinych gór łańcucha
Od wieków leży ciało spętane olbrzyma;
Legł — z bólu się nie miota, z gniewu się nie zżyma,
Z lewej piersi w niebo krzykiem wielkim nie wybucha!

Członki mu bezlitosna chłoscze zawierucha
I przemoc go w kajdanach na uwięzi trzyma,
Lecz olbrzym, z rozwartemi boleśnie oczyma,
Cierpi, napiąwszy w sobie moc niezłomną ducha.

Obsiadły go i trzewia targają mu sępy,
Aż im z dziobów krew czarna soplami ocieka;
Kraczą nad nim i w twarz mu wzrok wbijają tępy...

A jemu w męce nawet nie zadrgnie powieka,
Bo nieśmiertelny tytan, choć szarpany w strzępy,
Zna swoją nieśmiertelność — wierzy w nią i... czeka!

PRZED OCZY TWOJE, PANIE.

Przed oczy Twoje, Panie,
 Krzywdy nasze składamy,
To żywcem pogrzebanie
W czyścowych mąk otchłanie,
 Ran coraz nowych szramy,

Te gwałty i uciski
 Nad miarę i nad siły,

Ten ból rozpaczy bliski,
Z którym się od kołyski
Zmagamy do mogiły.

Od dziada i pradziada
Z pokoleń w pokolenia
Kłęska dziedzictwem spada,
Zniszczenie i zagłada
W cmentarz nam Polskę zmienia

A my, w sercu i w czynie
Tej matce wierni zawsze
I ufni, że nie zginie,
— Jak ojce — tak my ninie
W boje lecim najkrwawsze.

Płomień i miecz dookoła
Gniazda nasze wyniszcza.
Goreją miasta, siola,
Zostaje ziemia goła
I poczerniałe zgłiszcza.

Drzew martwe sterczą maryl,
Wznosząc wśród pogorzeli
Zwęglone swe konary
Nad gruz i popiół szary...
— Gdzież ci, co dom ten mieli?!

Tam, w dali strzechy płoną,
Pożar słońce przesłania
Burych dymów oponą,
A w noc łuną czerwoną
Krwawi się do świtania.

Ziemia kulami zryta
I rowy ją podarty.

Podeptały kopyta
Kraj — głodem obumarły.

Ludzie chodzą jak cienie
Z przygasłemi oczyma
I są jak te kamienie,
Których skargą — milczenie:
Płacz już się ich nie ima!

Przed oczy Twoje, Panie,
Przed miłosierne oczy
Tęś niemy ból niech stanie
I narodu błaganie,
Co krew za wolność toczy.

Bo, my, Boże, wierzymy,
Że z tej krwawej topieli,
Którą z siebie toczymy,
Poprzez łuny i dymy
Jutrznia złota wystrzeli!

BAJKA O KASI I KRÓLEWICZU.

I.

Nie miała Kasieńka ojca ani matki,
Ino miała oczy, jako dwa bławatki,
Usta jak dwie wiśnie, liczka jak dwie zorze,
I na służbie była Kasia we królewskim dworze.
Oj, Kasiu, Kasieńko!

I musiała w zimie od samego rana
Rąbać kłody drzewa na drobne polana —
I myślała sobie: „Jak zrąbię te kłody,
Któż przy ogniu się ogrzeje? Ten królewicz młody...”
Oj, Kasiu, Kasieńko!

I musiała latem w gorące południe
Iść po jasną wodę z konwiami pod studnię
I myślała sobie: „Jak naniosę wody,
Któż się to w niej będzie kąpał? Ten królewicz młody..
Oj, Kasiu, Kasieńko!

I co noc musiała szorować na czysto
Szczerozłote schody, podłogę srebrzystą
I myślała sobie: „Jak wymyję schody,
Któż to po nich będzie chodził? Ten królewicz młody..
Oj, Kasiu, Kasieńko!

— Gdy na łowy jechał z dworskimi i z psiarnią,
Wychodziła Kasia na strych nad piekarnią,
Wyglądała za nim dymnikiem ze strychu,
Płakać jej się czegoś chciało — po cichu, po cichu —
Oj, Kasiu, Kasieńko!

II.

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż go ty, Kasiu, nie słuchasz?
Posłał cię co żywo
Do lochu po piwo,
A ty go, Kasiu, nie słuchasz.

Uszła przez ciemną drewnutnię,
Bo ją coś gnało okrutnie
W te gaje, dąbrowy
I w bór ten sosnowy —
Tak ją coś gnało okrutnie!

Czy po stokrocie, po dzwonki
Biegniesz, Kasieńko, na łąki?
Oj, dzwonki, stokrocie
Nie tobie, sierocie —
Nie biegnij, Kasiu, na łąki!

Czy na poziomki, maliny
Idziesz do leśnej gęstwiny?
Maliny tam w borze
Nie dla cię, nieboże —
Nie chodź do leśnej gęstwiny!

Co jej tam kwiatki, jagody?
Ino królewicz ten młody!
W te gaje, dąbrowy,
W bór ciemny na łowy
Jedzie królewicz ten młody.

Jemu korona ze złota,
A tobie, Kasiu, robota,
Nie takiej sierocie,
Królewicz we złocie...
— Tobie, Kasieńko, robota!

Dźwigaj ty wodę i drewno,
Jemu się żenić z królewną,
Na nic twa uroda
I łez twoich szkoda —
Żebyś ty była królewną!...

III.

Huczą trąby po lesie,
Rozgłos wiatrem się niesie
Na cztery świata strony.
Jedzie królewicz, jedzie
Przed panami na przedzie,
A konik pod nim wrony.

Migło mu się przez zieleń.
A on myślał, że jeleń:

Śmignęła prędką strzałą...
Trafił Kasię w pierś lewą
I upadła pod drzewo,
Krwią się ciepłą zalała.

— „Com ja zrobił! Niech zginę
Za tę biedną dziewczynę! ■
• Biegajcie w mig dworzany,
I przywieźcie ze dwora
Najstarszego doktora,
Bo krew uchodzi z rany”.

— „Szkoda dla mnie doktora:
Jestem Kaśka ze dwora!
Ino tego się boję,
Co pan kucharz mi powie.
Kiedy o tem się dowie...
Dostanę ja za swoje!”

— „Nie bój się ty nikogo,
Ino powiedz, niebogo,
Czy bardzo boli rana?
Takaś blada, jak chusta,
Takie sine masz usta,
Kasieńko ty kochana!”

— „Troszkę boli, nic prawie...
Lecz nie klękaj na trawie,
Mój królewiczu młody,
Bo tu pełno krwi świeżej,
A ty, w złotej odzieży,
Narobisz sobie szkody”.

— „Niech tam odzież ubrocze.
Milsze mi twe warkocze,
Niżli korona złota —
Niech się odzież ubroczy.

Milsze mi są twe oczy,
Niż dech mego żywota.

„Za łyzy twoje i męki
Naści pierścień z mej ręki:
Turcy mi go przysłali —
Za krew twoją rumianą
Niechże ci się dostaną
Cztery sznury koralii”.

— „Jam nie skarbów łakoma,
Daj się objąć rękoma,
Uczyńże mi tę wolę:
Pókim żywa — nie żałuj,
Ino całuj mnie, całuj,
Królewiczu sokole!”



LEON RYGIER.

Ur. 1875 r.

SPOTKANIE.

(Ballada).

W rączym pościgu za wrogiem,
W litewskich lasach zgubieni,
Z marzeniem wolności drogiem
Śpieszą, podobni do cieni.

Nad nimi wśród głuchej nocy
Bór czarny namiot rozpina,
Ścigają widmo przemocy
Gnanego trwogą Kaina.

Na szybkim koniu na przedzie,
Syn wierny praojców ziemi,
Brygadjer Piłsudski jedzie
Z oczyma w przyszłość wbitemi.

I chociaż noc dookoła
Rozlała mroków swych morze,
On widzi już Archaniola,
Co ranne zapala zorze!

Stwardniały rysy w zadumie,
Serce zamarło w tęsknocie...

— — — — —
Wódz mężny — on jeden umie
Zbudzić człowieka w helocie...

— — — — —
I nagle — zrzędniały drzewa,
Coś błysło, jak myśl kochana,

Znajomy sztandar powiewa —
Przed wodzem — cicha polana...

Jakieś zastygłe postacie
Wychyną z nocnej majaki;
Wśród ciszy szept jęknął: „Bracie!”
— „Ktoście wy, ludzie?” — „Kryjaki!”

Zadrżało bolesne słowo,
W pustkowiu zadrżało ciemnem;
Las mu powtórzył grobowo
Wspomnień swych echem tajemnem...

Wódz ściągnął cugle, wzniosł rękę,
Przyłożył palce do skroni:
On salutuje tę mękę,
Nim się do stóp jej pokłoni...

Widmo żołnierza.

Lata idą i idą,
Wody płyną i płyną — —
My czekamy cię, gończe,
Śpieszącego z nowiną...

Wiatr po nocach nam wyje?
Deszcze moczą, mróz parzy — —
Nasze oczy w dal patrzą,
Wzrok tęsknotą się jarzy...

Cóż przynosisz nam, bracie,
Czy nie wieść od Traugutta?
Prędkoż pieśni zwycięskiej
W świat rozlegnie się nuta?

Prędkoż wyjdziem z kryjówek
Na świat wolny, na słońce?

Mów, pociechy słowami
Raduj serca tęskniące...

W ó d z.

Hej — widziałem Traugutta,
Hej — patrzałem w lice,
Jak mu ręce katowskie
Zakładały pętlicę.

Hej, przynoszę wam wieści
Nie od niego — od Boga:
Powróż lniany dla kata,
Ostrą szablę na wroga.

Niepotrzebne już warty
Nad przepadłych snów trumną;
Opuszczajcie kryjówki,
Gońcie hucznie a szumno...

Pieśń zwycięska już dzwoni,
Biały Orzeł w świat leci — —
Wolnym duchom niech światłość
Wiekuista zaświeci...

— — — — —

I nagle, jak mgły nadwodne,
Poblądły widma żołnierzy;
Jaśnieje niebo pogodne
I promień świtu uderzy.

Las cały zadrżał miłośnie,
Dreszcz słodki idzie przez knieje,
I sosna śmieje się sośnie,
I jodła jodle się śmieje!...

A z chmur, jak księżyc o świetle,
Bładością cichą zasnuta,
Na to budzące się życie
Patrzy twarz słodka Traugutta.

NIE WOLNO MI O TOBIE ŚNIĆ.

I.

Nie wolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno,
Kto inny będzie z ust twych pić
Najsłodsze pieśczęt wino!

Tęczowa marzeń moich nić
Zerwała się, dziewczyno,
I trzeba mi uczucia kryć —
Czy miną, czy nie miną...

Spokojnie w drogę swoją idź
I kwiaty rwij, dziewczyno;
Bez twoich oczu muszę żyć,
Choć z moich — łzy popłyną.

Nie możesz ty mi szczęściem być
I pieśnią mą jedyłą;
Nie wolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno...

II.

Na rozstanie, pożegnanie
Piosnkę rzucam znów...
I stłumione serca łkanie,
Sny, co ziścić się nie mogą —

Kwiat, co zakwitł nade drogą —
Niosę ci tu na rozstanie
W garstce śpiewnych słów...

Hej, dziewczyno... sny przemina,
Wyschnie szczęścia zdroj...
Ale piosnki w dal popłyną
I poniosą z sobą światu
Blask słoneczny, zapach kwiatu —
I ten uśmiech twój, dziewczyno,
I ten uśmiech twój...

Na rozstanie, pożegnanie
Piosnkę rzucam znów...

III.

O, cichy, jasny, słoneczny dzień —
Czemu tak szybko na czasu fali
Zniknął w oddali
I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień?...

Nieśmiałych marzeń błękitny kwiat
Wiednącą główkę ku ziemi chyli —
Minionej chwili
Nie wróci świat...
Nieśmiałych marzeń wiednie już kwiat...

I serce, pełne bolesnych drzeń,
Na szarość życia próżno się żali...
Zniknął w oddali
I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...



SAVITRI (HANNA ZAHORSKA).

Ur. 1883 r.

INWOKACJA.

O ziemio, ziemio,
I czemu śpisz, i czemu śpisz,
Na swoich barkach zleniwiiałych
Dźwigając nałogowo krzyż,
Gdy na twych łąnach spustoszałych
Szkodliwe chwasty wśród się plemią!

O ziemio, ziemio,
Drgnij i do wielkiej wojny wstań,
Ruń we krwi flagi oliarnicze,
Własne twe wrzody kluj i rań,
Na własne barki puszczaj bicze,
Niechaj się porwą ci, co drzemia!

O ziemio, ziemio,
Tak że ci wyjałowiał grunt,
Że bohaterów już nie rodzi?
Na wielki bunt, na święty bunt
Wstawajcie, ludy! Śmierć dowodzi,
Lecz zgony duchów nie oniemia...

O ziemio, ziemio,
I czemu śpisz, i czemu śpisz?
Idź przez pożarne krwi topiele,
Gdy w słońcu nie podążasz zwyż,
Lecz prawdę żywą okaż w ciele —
Tak dawno chwasty złe się plemią —
O ziemio, ziemiol

ARTUR SCHROEDER.

Ur. 1882 r.

CMENTARZ.

Jakby rozlana z czarodziejskiej misy
woń wędniejących kwiatów z dżdżu wilgotnych,
wzdłuż i wszecz szereg grobowisk samotnych
i straż pustkowi cmentarnych — cyprysy.

Liście opadłe na szerokiej ścieży
wiatr podwieczorny roztrąca i zwija —
pod murem, w stronie, której nikt nie mija,
przygotowany dla kogoś dół świeży.

Mrok cichym krokiem z za drzew się wychyla
i podmogilnym snom idzie na strażę —
jakiś postaci wskrzesza zwidzeń chwila...

jawi się smutny, zgięty w linjach grzbieta
tłum dobrze znany: Horacy, grabarze
i pytająca, blada twarz Hamleta.

LIST.

Nie nieś mnie dalej... Żar ranę przypieka —
mgłą mi gorącą jakąś zaszły oczy —
do wsi wszak droga jeszcze tak daleka...
Położ mnie tutaj na śniegowej zboczy,
zasłoń od wichru — siecze jak ołowiem —
i słuchaj pilnie, co ci teraz powiem.

Rozepnij mundur. Tu, na piersiach... niżej.
konterfekt mały. Wetknij mi go w dłoń,

przysuń przed oczy... Jeszcze, jeszcze bliżej —
Wszystko mi teraz w mroku jakimś tonie,
szara się zsuwa na powieki chusta —
Weź trochę śniegu i zwilżij mi usta.

Lepiej już... Słuchaj, masz tam gdzieś w tornistrze
papier, ołówek... Co?! Czy dobrze słyszę?
— strzały bo huczą coraz to ognistsze —
Płaczesz? nademną jęki zwodzisz mnisze?
Śmierci się zląkłeś, stary Legionista,
choć ją w ślepie patrzył razy trzysta!

Przestań! Sam czuję, że niedługie chwile
śmierć dla mnie jeszcze na ostatek chowa,
a mam ci przecie podyktować tyle,
że myśl się płacze, trudno zebrać słowa,
co huczą w mózgu, jak pocisk armatni,
iż ciężko wtłoczyć je w ten list ostatni.

Pisz więc! Płkanie nie przyda się na nic,
kiedy ci piersi rozorzą granatem. —
Prędejj, bo słabnę... „Kochana bez granic!
Razem z Józefem — nie sługą, lecz bratem
był mi, ozdobą w szwadronie pod Młotem
(jeśli powróci, nie zapomnij o tem!...)”

Pisz, co dyktuję. Prawdę mówię przecie,
potok niemieckich łez powstrzymaj, bracie!
Ciężar trza zrzucić, co mi duszę gniecie,
a trudno mówić, kiedy patrzę na cię,
a ty łez pełne, masz oczy rozwarte,
ostatnią pełniąc przy mnie dzisiaj wartę.

...,razem z Józefem, w wszystkich walcząc bitwach,
ślad naszych zwycięstw trupem znacząc wroga,

że było jeszcze, wieniec — los był w modlitwach
swoich codziennych ubłagała Boga)
zśliśmy dla świętej, wszystkim wspólnej sprawy,
za dawne krzywdy odwet biorąc krwawy.

Za naszą bronią zawsze parło szczęście,
na szabel ostrzach śmiejąc się nad słońcem;
wróg ustępował, zaciskając pięście,
śmierci mu była wieść ta zawsze gońcem,
że nim się plan ich knuty zdradnie ziści,
„szaleńcy" wpadną na nich, Legjoniści.

Niczem nam były wszystkie głody, trudy,
— wszak żołnierz polski do nich już nawykły —
kawał pod głowę przymarzniętej grudy,
kęs chleba, suchar, gość często niezwykły,
wystarczał zawsze, a gdy zbrakło kiedy,
lżejszym na atak szło się za to wtedy.

Marzyłem nieraz, stojąc na pikiecie,
gdy księżyc wschodził, jak u nas, nad lasem
i cichość wielka słała się po świecie,
zdaleka tylko przytłumiony czasem
grzmot się odzywał, znak, że gdzieś tam nocą
śmierć się i życie w zmaganiu szamocą,

że kiedyś razem wpośród Was zasięde,
patrzeć Ci będę w Twoje oczy dobre,
ze wspomnień moich wszystkie wydobęde
żołnierzy naszych czyny wojny, chłobre,
w myślach przeżyję dzieje po raz wtóry
z pod Karpat, Wisły, Dunajca i Bzury.

Bóg chciał inaczej... Dziś w czasie ataku,
kiedy zwycięsko braliśmy armaty,

pędząc po zwłokach, krwawiącym się szlaku,
plunęły na nas moskiewskie granaty.
Czułem, że lecę... Koń mój padł nieżywy...
Z gradu kul zwłóknął mnie mój Józef pocziwy.

On Ci, Najdroższa, może list doręczy,
który dyktuję ostatkiem sił prawie...
Widzę Was wszystkich w jakiejś jasnej tęczy,
nie w półśnie śmierci, ale jak na jawie,
która słodyczą me oczy przewierca,
jakbym Was wszystkich przyciskał do serca...

Wierzę, że teraz już nie nadaremno
krew się przelała w Polsce najzaczniejsza;
wierzę, że w zmroku rodzi się tajemno
moc, co od śmierci nawet jest silniejsza —
i co, jak mówi serca mego bicie,
dźwignie nas wszystkich w nowe, wielkie życie.

Wierzę, że Polska podniesie się w chwale,
która ją w karty najszczytniejsze wpisze,
że się rozbiegną z grobu jej szakale,
że zmartwychwstania dzwon się już kołysze,
wierzę, że wreszcie dla nas wschodzą zorze —
tak mi dopomóż sprawiedliwy Boże!

Z tą wiarą lżej mi pożegnać już Ciebie,
ona rozstania łączy ciężkie osusza
i bezboleśnie gorzkie słowa grzebie,
jakie w tej chwili chce wypłakać dusza.
Ona przed bólem puklerzem i tarczą,
gdy szepty śmierci w uszach mi już warczą.

Nie mogę więcej... Wszystko, co tam w domu,
Twoje jest, Droga... Jurka i Janinę

przytulam długo... Jeśli kiedy komu..."
Ciemno mi, Józef! Zgarnij z ust mi ślinę,
głowę mi w śniegu głębiej jeszcze zanurz..
„Błogosławieństwo... Wam... Najdrożsi...

J a n u s z'

ANTONI SŁONIMSKI.

Z A L.

Gdy cię spotkałem raz pierwszy,
Mokre pachniały kasztany.
Zbyt długo mi w oczy patrzałaś, —
Ogromnie byłem zmieszany.

Pod mokre płaty gałęzi
Szedłem za tobą w krok.
Serce me trzymał w uwięzi
Twój fijołkowy wzrok.

Dawno zużyte słowa
Wróciły do mnie znów
I zrozumiałem odnowa
Znaczenie prostych słów.

I tak się jakoś stało,
Że bez tak pachniał — jak bez,
I słowo „pachniec” pachniało,
I łzy były pełne łez.

Tęsknota, słowo zużyte,
Otworło mi swoją dal.
— Jak różne są rzeczy ukryte
W króciutkim wyrazie: żal.

EDWARD SŁOŃSKI.

Ur. 1874 r.

O TEM, JAK SIĘ SPOWIADAŁ HOŁODA.

I.

A gdy słońce czerwcowe jęło maj likwidować,
tłumić bujne rozkwity, pola ogniem całować,

kraść jaśminom kwitnącym jaśminowe zapachy,
w mrocznych sadach świtanieciem nocne trzeźwić przestrachy,

dziwowali się ludzie, dziwowali Hołodzie,
że o głodzie i chłodzie żyje z Bogiem w niezgodzie.

Przychodzili z okolic niedalecy sąsiedzi,
powiadali: — Hołodo, idź do świętej spowiedzi!

— Idź do świętej spowiedzi, boś największy z grzeszników,
skoroś ogłuchł zupełnie od śpiewania słowików,

— skoroś zmysły postradał od wiosennych zapachów,
zaniemówił od nocnych przerażonych przestrachów

— i jak trawki piwniczne, białe grzybki i kwiaty:
zaniewidział od blasku księżycowej poświaty.

— Wszystko Bogu opowiedz, mów, jak było, co było,
co się śniło po nocach, co się we dnie zdarzyło.

— Bóg wysłucha, policzy wszystkie winy, bezwiny,
snów bezczasy i tęsknot niespokojne godziny

— i rozkwieci po sadach białe bzy i liljowe,
i uczyni dla ciebie znowu święto majowe! —

Tak mówili, radzili, ci, co dobrze życzyli,
aż mu w głowie do reszty, jak na śmiech, przewrócili.

Słuchał tego, co mówią — i nie słyszał Hołoda,
gdy mówili mu: — Ogień! —, on powtarzał im: — Woda! —

Gdy mówili mu: — Czarno! —, on powtarzał wciąż: — Biało —
aż mu wreszcie z uciechy do łez śmiać się zachciało.

Śmiał się przeto i płakał, a gdy poszli sąsiedzi,
nic nie mówiąc nikomu, pobiegł sam do spowiedzi.

A na dworze w tym czasie w całej pełni i krasie
maj z dniem białym umierał na słonecznym kompasie.

Okwitały po sadach bzy koślawe i krzywe,
szary słowik wywodził trele jakieś fałszywe,

szary słowik ochrypty w ciemnym gąszczu, jak piłą,
bez litości zarzynał miłość, której nie było...

II.

Nad ołtarzem w kościołku, gdzieś pod stropem u ściany
siedzi Pan Bóg drewniany, girlandami ubrany.

Ksiądz odprawił ostatnie nabożeństwo majowe,
jeszcze echem organów kwiaty drżą papierowe.

Pańscy święci zbierają i wszywają w szkaplerze
małych dzieciaków uśmiechy, starych dziadów pacierze...

i wieszają, jak wota, Panu Bogu na chwałę
w tłoku świętych obrazów pod girlandy spłowiełe.

Dobry Pan Bóg drewniany do swych skarbców zabierze
i uśmiechy dziecięce, i dziadowskie pacierze,

zrzuci z siebie girlandy, zdejmie szaty godowe,
bo wszak to już ostatnie nabożeństwo majowe.

Gdy tak święci pracują, jak umieją i mogą,
wpada nagle Hołoda, nie pytając nikogo.

Idzie wprost do ołtarza i przykłęka w pokorze.
— Pomóż ty mi, o Boże! maj umiera na dworze! —

— Jakże ja ci pomogę? — pyta Pan Bóg łaskawy —
gdy na głowie swej inne najróżniejsze mam sprawy?

— Codzień trzeba dzień zgasić, codzień słońce rozniecić,
krasnołudkom polecić wszystkie lipy rozkwiecić,

— krasnołudkom polecić wszystkie kłosa napełnić
i samemu obłoki na błękicie rozwełnić.

— Jakże ja ci pomogę, gdy tymczasem za pasem
stoi czerwiec upałem roziskrzony nad lasem? —

Jęknął głucho Hołoda, w górę ręce wznosił obie:
— Panie Boże, o sobie wszystko powiem dziś Tobie! —

I jął mówić, co było, co się w maju zdarzyło,
jak mu serce rozgłośnie, niby dzwon, uderzyło.

Jak się wszystko zaczęło krzykiem kotów na dachu
i omdlało z przestachu w jaśminowym zapachu.

Jak słowiki w księżycu czarowały swym śpiewem
noc tęskniącą do czegoś i do kogoś pod drzewem.

Jak kasztany kwitnące do samego świtania
roztaczały dokoła dziwny czar miłowania,

jak swe kwiaty, jak świece, zapalały łaskawie,
jak swe szumy wilgotne kładły dołem na trawie...

Lecz tu zda się Hołoda nagle zmysły postradał,
bo pleść zaczął trzy po trzy i nie wiedział, co gadał.

Mówił o tem, że spotkał, ale kogo, sam nie wie..
Oczy jej — głębia morza, ręce jej — skrzydła mewie...

Tu była i tu była... jej ślad jest wszędzie... wszędzie..
Wiatr się zatrzyma w pędzie, ale jej już nie będzie.

Słońce na miejscu stanie... Cóż stąd, że słońce stanie?
Jedno jest tylko życie i jedno miłowanie...

I wołał wielkim głosem: — Niech wola Twoja będzie!
Trzeba słońce zatrzymać i wiatr zatrzymać w pędzie!

— Idźcie stąd, dzieci małe, idźcie, dziady kościelne!
Wielkie są grzechy moje, wielkie są i śmiertelne!

— Wy wszyscy święci pańscy, pozbierani gdzieś w raj u,
odważcie grzechy moje, grzechy z jednego maju!

— Weźcie je i zaszyjcie w swoje święte szkapierze,
lepsze one przed Bogiem, niż dziadowskie pacierze! —

III.

Słuchał tego wszystkiego dobry Pan Bóg drewniany,
malowany gwiazdami, girlandami ubrany.

Pańscy święci, co kościół i zakrystję sprząтали,
grzeszne słowa zbierali i na wagę rzucali.

Koływały się szale, podnosiły, spadały —
jeden miesiąc grzeszenia, a pokuty wiek cały...

A przy wadze Piotr święty sam na wszystko uważa —
kiwa głową i mruczy i tak wółko powtarza:

— Sprawiedliwa oliwa sama na wierzch wypływa!
Zobaczmy, czy dużo nawarzyłeś nam piwa! —

Ale Pan Bóg był dobry — wszystko wiedział, rozumiał...
Wszakże grzechem nie było to, że kasztan gdzieś szumiał!

Wszakże grzechem nie było to, że słowik gdzieś śpiewał,
że w jaśminów zapachu ktoś z przestachu omdlewał!

Oczy ciemne, jak morze, ręce białe, jak mewy!
Gdzie wy oczy i ręce, gdzie wy szумы i śpiewy?

Maj umiera gdzieś w sadzie, maj umiera gdzieś w gaju...
— Zaszywajcie w szkaplerze te relikwie po maju! —

Szumi kościół, jak kasztan, cicho grają organy,
a z pod stropu ze ściany schodzi Pan Bóg drewniany.

Postukując i skrzypiąc pod ciężarem swej brody,
od ołtarza przez kościół idzie wprost do Hołody.

Bierze jego za rękę, wiedzie w sady i gaje —
niech zakwitną, zapachną i rozpieśnią się maje!

Postępując i skrzypiąc, wyszli razem z kościoła
i zginęli gdzieś w sadach, co szumiały dokoła.

I nikt nie wie gdzie poszli, co robili, gdzie byli,
bo jak poszli, tak znikli — po dziś dzień nie wrócili.

MIECZYŚŁAW SMOLARSKI.

WIATR HALNY.

W nieśmiertelnej przyrody oddech tryumfalny
Rozszumiał się, rozhuczał, rozśpiewał wiatr halny.
Na szczytach chmur-rycerzy zagrały tętenty,
Schyla się dumnych świerków sztandar rozwinięty,
A z mgieł rdzawych, jak w ogniu palącego lontu
Odcina się jak sierpem skalny szczyt Gewontu.

O, znam ostępy w górach, gdzie wiew taki dzwoni
Zdeptane jak przez stado rozbieganych koni,
Znam miejsca, gdzie wiatr zdradnie wyciąga swe ramię,
Chwyta jeden świerk, drugi, powala je, łamie,
Aż przeleci nad stoku pustego mogiłą
Upojony zniszczeniem, olśniony swą siłą.

Zamilka... Znają ciszę taką leśne drzewa,
Serce wówczas we świerkach stuletnich omdlewa.
Słońce, zachodząc z nieba, błysło uśmiechnięte,
Przepada w mgle, a raczej zagasa — zdmuchnięte!
Schodzi noc, wiatr od turni i od wierchów dziko
Leci szumieć znów, huczeć, dusić swą muzyką.

Lecz kto w duszy ma pełnię takich śmiałych lotów,
Szumów wiatru orlego, wzlatuń bez powrotów,
Ten wyrwany z codziennych dni swym słuchem goni
Pieśń, w której lot i szczyty wiążą się w symfonji,
Gdy, jak wiecznej przyrody oddech tryumfalny
Przelata swą potęgą i śpiewa — wiatr halny.

LEOPOLD STAFF.

Ur 1878 r. we Lwowie

K O W A L.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pęknieś, przeciw ciosom stali nieodporne;
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przekłętą,
Rysą chorej niemocy skażone, pękniętą.

W MROKU.

Hej! wicher wyje, a las zwiędły ginie,
Cichy krok śmierci słychać w uschłej trawie.

Chłop się powiesił w opuszczonym młynie...
Dziewczyna dziecko utopiła w stawie...

Zmarzłe żebractwo jęczy u mej przyzby,
Ale nie wyjdę z mojej pustej chaty...

Starą pamiątkę, spleśniały gobelin,
Na ścianach mojej rozwiesiłem izby.
Nie by przypomnieć miniony, bogaty
Przepych, co dzisiaj zszarzał, lecz bym szczelin
I szczerb nie widział, które w starym murze
Wykrusza wicher chłostą bezlitosną,
By mi mógł szeptać w ucho: Zwiędły róże,
A konający wciąż tęskni za wiosną!
Bo nie chcę widzieć, jak przez wąskie szpary,
Które wygryza zimny gniew cierpliwych
Kropel dżdżu, wpada dzień słotny i szary
I płacz drzew żółtych, co duszę oblała
Rozpaczą istot umarłych, nieżywych,
Z oddechem grobów myśli moje brała,
Z łkającym jękiem przysiadła w szczelinie
I w obłąkanej zawodzi obawie:
Chłop się powiesił w opuszczonym młynie...
Dziewczyna dziecko utopiła w stawie...

Chorą gałęzią pożółkłej zieleni
Uderza jesień chmurne moje czoło.
A nad topielcem wicher wodę pieni,
Nad powieszonym krąży kruków koło...
Smutek, tkacz czarnych myśli i bezsennych
Nocy, wyucza mnie piosnek więziennych
I przypomina mi klęsk moich dzieje...
Hej! jak się wicher opętany śmieje!
...Przez morz umarłych ogłuchłe odmetry
Z dalekiej drogi płyną me okręty...
Po fali czarnej, nieruchomej, gładkiej,
Trupów przywożą me żałobne statki...

A raz mi ludzie jasną wieść przynieśli,
Że wielkie idzie na świat Zmiłowanie,
Że spokój idzie po szumiącym łanie...
Mir niesie prorok pogodny, syn cieśli...

A statek wraca po długiej wyprawie
I wiezie trupów po głuchej głębinie
A dziewczka dziecko utopiła w stawie.
A chłop powiesił się w odludnym młynie...

A ci co w pracy i męce się trudzą,
W łachmanach muszą iść pod strzechę cudzą.
A ci, co padli w zwątpieniu, nie wskrześli...
A śpiący w smutku, w rozpacz się budzą...
Proroku blady, smutny synu ciesli!...

Jak drzewa płaczą strwożone śmiertelnie,
Jak wichur wyje... Chociaż jam tak szczerwie
Zastonił okna i szczeliny ściennie,
Widma wcisnęły się do mnie jesienne...
Z pooranemi twardym bólem czoły,
Ze zwieszonemi dłońmi — stają przy mnie,
Zmrożone, sine, dygocą na zimnie
I swe głębokie, czarne oczodoły
Wlepiają we mnie... Kiedy jesień wymnie
Liść dłonią wichru i błotem go skala,
To liść tak płacze i tak się użala
Niemem milczeniem zniszczenia, jak one...
Lecz ja nic nie mam dla was umęczone
Duchy, co w dom mój wchodzicie bezładny,
Ciemny... Jam jak wy znędzniały i brudny,
Próżno ku sobie przywołuję spokój...
Proroku smutny i blady, prorokuj!
Czary szklanych dusz miłością oceń,
Zmyj łzę, niech błysną blaskiem cudnych złociń.
Podnieś raniący stopy, twardy kamień
I pocałunkiem Twych ust w chleb go zamień...
Dlaczego po nas Twoja łódź nie płynie?
Gdzie dla tonących miejsce w Twojej nawie?
Czemu chłop w pustym powiesił się młynie,
A dziewczka dziecko utopiła w stawie?...

Prośba żebraczka, z wyciągniętą dłonią,
Córka pokory mej, zgarbiona, chuda,
Wyszła przed próg mój z pochyloną skronią
I wyczekuje cicho, nie na cuda,
Ale na skromną jałmużnę pogody,
Bo już do chaty mej zajrzały głody,
Dusza ma kona... Dawniej me wspomnienia
Jasne schodziły przed wrota mej strzechy,
A prośba moja, w łachmanach odzienia,
Łzę wypraszała mi od nich uśmiechy,
Któremi żyła dusza... Dziś wichura
Już je rozwiała i jesień ponura...
Nie przyjdą... Prośba moja Ciebie czeka,

Proroku blady, cichy... Czy daleka
Chwila, gdy będziesz obok mnie przechodzić
I dasz mi światła jasnego jałmużnę?
A jeśli będzie jej czekanie próżne?
...Raz chciał zły ojciec dzieci swe zagłodzić...

Dusza ma czeka, lecz przed memi wroty
Przeciąga tylko głuchy płacz tęsknoty
I wicher wyje, a las zwiędły ginie,
Cichy krok śmierci słychać w uschłej trawie...
Chłop się powiesił w opuszczonym młynie...
Dziewczyna dziecko utopiła w stawie...

ZORZA ZACHODNIA.

*Gdy wpatrzon w słońce mrące na zachodzie skraju
Oczy na wschód obróczę, skąd mrok siny prószy,
Mam bolesne wrażenie Straconego Raju
I zda mi się, że patrzę w noc swej własnej duszy.*

Nigdy niesyty jestem twego barw przepychu
I twego smętku, o, słońca zachodzie,

Kiedy zmierzch zwolna, pocichu,
Przenika serce
I w łagodnym chłodzie
Spowija mrokiem drzewa i równin kobierce.

Nigdy niedość mym oczom baśni tajemniczej
Twych smug z płomienia i płynnego złota,
Jak ust kochanych słodczy,
Gdy się w nie wpija
Gorąca tęsknota,
Czując, że czar ich wieczny, bo na wieki mija.

Rozkoszy czy cierpienia łaknęź głodnem łonem,
Gdy oko, w zórz twych wpatrzone pożary,
Światła upaja się zgonem,
Jak winną treścią
Oszołomnej czary?
Czy też rozkosz jest jeno najwyższą boleścią?

Usta namiętne, pijane w miłosnym oblędzie,
Aż do krwi ranią upragnioną wargę;
Nagie ramiona łabędzie
Dławią drapieżnie
Pierś, aż wyda skargę.
O, zorro, jak mnie męką przepajasz bezbrzeźnie!

Jest otchłań, której żadna nie napełni pełnia,
I przepaść, której dosyt nie ukoi.
Piany, co fale mórz zwałnia,
Dna tajemnica
Nigdy nie upoi.
Wieczyste łaknąć musi ma głodna tęsknica!

Wchłonać w pierś chciałbym wszystkie światła widnokreśli,
Co się w klejnoty przetapają żywe,

Lecz żądz zachłanne zasięgi
Są złudą kłamną,
Choć tak ociążliwe
Jesteś w odejściu swojem, światło! Tęsknisz za mną?

Żegnasz naprzód, o słońce, promieniem ukośnym
Przyziemne sady i niskie zagrody,
Blaski dolinom ślesz rośnym,
W uśpionym stawie
Złocisz ciche wody
I końce rogów wołu żującego-w trawie.

Potem z wszystkim, co wznosi i dźwiga wyżej,
Pocałowaniem rozstajesz się złotem,
Z czarnemi ramiony krzyży,
Z dumnymi czoły
Drzew, które nalotem
Żaru twego bronzowią swych koron wierzchoły.

Najdłużej pieścisz światła gasnącego zorzą
To, co najwyższe i sięga do nieba,
Wyżyny, co się nie korzą,
Samotnym łaski
Twej najwięcej trzeba:
Ostatnie rzucasz wieżom i gór szczytom blaski.

Jakiejż władzy purpura, rozświecili zachodnia,
Jakiejże sławy pyszne aureole,
Jakiej miłości pochodnie
I szczęścia róże
Na ziemi padole
Równe są twoim ogniom, żagwiom i purpurze?

Która matka tak czule żegna się z dziecieniem,
Która kochanka tak zamyka oczy

Na sen ust miękkich dotknięciem,
Jaki czar świata,
Jaki sen uroczy
Opuszcza nas z żalością taką, gdy odlata?

O wieczyste konanie, mijanie wieczyste,
Które na niebie wytaczasz krew drogą
Naszej boleści i mgliste
Przesłaniasz łąki,
Jak przeszłość sreżogą
Oddalenia! Zachodzie, nauko rozłąki!

Patrzymy codzien w ciebie, niknąca czerwieni,
Nim się nam z światłem zgon pożegnać każe,
Rozstać się z jaśnią promieni,
Byśmy, nim zbieli
Śmierć martwe nam twarze,
Tę ziemię, jak ty, żegnać spokojnie umieli.

A jak niepokieszenie zgon twój nas zasmuca,
Jakim bezbrzeżnym żalem serce wzbiera!
Jutro blask, co nas dziś rzuca,
Znów zmoże cienie,
Lecz w świetle, co zamiera
Drży niezabytej straty odwieczne wspomnienie!

O, zachodzie! Codzienna ofiara bezkrwawa,
Obrazie nocy zdradziecko zwycięskiej,
O, zmięczeniu mszo, co się stawia
Gwoli pamięci
Niecofnionej klęski...
O, jakież żal głęhoki, duszo, ciebie smęci!

Czy prawdą jest, że wszelka rzecz w świecie stworzona
Jest najpiękniejsza dopiero, gdy ginie,

Kiedy umiera i kona
W przedśmiertnej głuszy?
Czy w śmierci godzinie
Kiedys i ja odzyskam cały blask swej duszy?

O, światła, pierzchające w bezkresów otchłanie,
Jak echa w święto dzwoniących kościołów!
Żałosna blizno po ranie!
Śnie mój daleki
O blasku aniołów,
Którym tak bardzo kochał i stracił przed wieki!



POGRZEB ŻOŁNIERZA.

Biją dzwony, żalne dzwony,
chowają żołnierza, —
krzyżem został odznaczony,
dziś do grobu zmierza.

Niosą trumnę towarzysze,
towarzysze broni,
a dzwonami jęk kołysze
i w cichą dal goni.

Niechał żony, niechał dzieci,
w ubóstwie, rozpaczy:
wierzył bowiem, że już leci
orzeł, ptak junaczy.

Że już swoje krzywe szpony
zanurza we wroga,
że tyraństwa wraże trony
już obala trwoga...

Padł wśród boju... Grają oto
marsza mu Chopina,
w którym dźwięki bóle plotą
i żałość bezsenna.

W cmentarnianą weszli bramę,
dążą ku mogile,
by dać trumnę w ciemną jamę,
których teraz tyle.

Kapłan Salve mu Regina
zaśpiewa, pokropi,
połem szczerze go wspomina,
że zapłaczą chłopi.

Przedtem jeszcze zagrzechocze
salwa karabinów,
boć on serce miał ochocze
do wojackich czynów.

A na końcu trąbka łzawo
na sen mu zaśpiewa,
że już odejść on ma prawo
w jamę, pod cień drzewa.

Od komendy zaś do żony
napiszą, do dzieci,
że padł kulą w pierś trafiony — — —
Niech mu światłość świecił...

WŁADYSŁAW STERLING.

Ur. 1876 r.

HYMN ŻAŁOBNY.

Dokąd idą umarli,
Nasi umarli?
Czy srebrnobłękitna cisza
Czeka nowego przybysza
Na jakiejś nieskończonej, rozemglonej łące
Pod cieniem wiekuistych, symbolicznych drzew —
I czy się tam kołyszą, senne i mdlejące,
Bładowożłote dziewanny
W rytm wolny i nieustanny,
A z ust bezkrwistych płynie śpiew,
Żałobny śpiew?
Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?
Czy jest jakie zielone jezioro Pamięci —
Długie, głębokie i szklane —
Myśli jak ptaki obłąkane,
Kiedy nimi wir zakręci
Padają w głębie Jeziora,
I całe Dziś, całe Wczora,
Całe Jutro, cały nieskończoności wiek
Uderza o zielony brzeg,
A potem głębia go chłonie...
Mistyczne, milczące, niezmierzone tonie!...
Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?
A czy jest mrok upagniony,
Pragniony, pożądany, śniony Nocy Mrok?
Przez szare ugory cmentarzy

Chodzi tęsknota, jej wzrok
Ogniem się pali i żarzy,
Wpija się w serce coraz głębiej, dalej,
 Jak ogień pali,
 Jak ogień.
Dokąd odchodzą umarli —
 Nasi umarli?

I czy tam o północy rozbrzmiewa i dzwoni
 Ogród śmiertelnej Ironji?
 W piasku i pyle
Nurza wiatr kwiatów złamane badyle
 I szumi, szumi, szumi,
 Szumi wiatr wiekuiście,
 Kłębami wzdyma podarte liście
 I`żółte kępy igliwa.
Umarli patrzą — każdy oddech w piersi tłumi —
I dziwny uśmiech słodkie twarze im wykrzywia.
Dokąd odchodzą umarli —
 Nasi umarli?...

ALEKSANDER SZCZĘSNY.

LIRYKA.

O, domów starych pustko zamodlona,
O, trzcin poszumie na stawach zarosłych...
...Marzenia moje biorę na ramiona,
Jak parę dzieci w nędzy niewyrosłych.

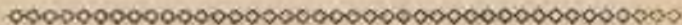
Marzenia moje biorę na ramiona
I kołysankę śpiewam, nie wiem komu,
...W szybach na pustce stojącego domu
Tak wczesnie słońce rozognione kona.

Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem;
Za oknem miękkie śnieg pada;
Śpiewaków cicha gromada
Przyszła mnie bawić nuceniem.

I słucham z ukrytem drżeniem,
Jak głos się w ciszę zapada,
Z jawy się staje marzeniem,
I słucham z ukrytem drżeniem,
Jak głos się w ciszę zapada.

Śpij: — o, jak senny zaśnij głóg
Przy drodze uciszonej; —
Po ziemi chodzi jakiś bóg
I kładzie snom korony.

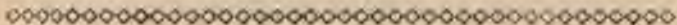
Tedy się oddaj królom w moc,
— Królom wieczornej chwili.
Śpij, póki sen ci zasyła noc;
— — Głóg się na drogę chyli.



POGRZEB SZPITALNY.

We wiosenne południe ze szpitalnej bramy
wywieziono trzy czarne żołnierskie trumienki...
Skon im przyniósł nie kuli w boju świst ów cienki,
zadusiła ich za to zimnemi rękoma
śmierć powolna — kamienna — gdy wzywali mamy.
kiedy progi rodzinne tęsknota łakoma
malowała w gorączce...

Uliczkami miasta
wiozą trumny na cmentarz... Każdy trwożnie oczy
w bok uchyla, tak czarny płynie od nich smutek,
który w serca nam dzisiaj korzeniami wrasta...
Nikt tam wcale za nimi na cmentarz nie kroczy,
nikt nie rzuci ni ziemi — ni wianka stokrótek —
że poszedłby Pan Jezus, gdyby nie był świata
zbrzydził sobie do reszty... A gdyby wiedziały
matki, wszystkie by poszły, których syny zmiata
kosa wojny... Niech tęsknią!... A łzy ich wylane
niechaj ze krwią zmywają pobojuwisk pola...
A tymczasem cichutko — bez wojennej chwały
wiozą trumny na cmentarz... Powietrze wiośniane...
Całą dla nich ozdobą słońca aureola...
Tylko ówdzie stanąwszy, wdychają żołnierze,
tylko pacierz gdzieś szepczą w zaułkach kobiety...
ale jedna do grobu prowadzi ich szczerze:
niewymowna tęsknica żołnierza-poety...



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Ur. 1863 r. w Ludzimierzu.

A KIEDY BĘDZIESZ MOJĄ ŻONĄ.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winograpy,
I róże śliczne i powoje .
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamysłeni,
Wśród złotych przymgłeń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa — cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy pięć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamysłeni,
Wśród złotych przymgłeń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzewi miłość nam otworzy.

WYKOŁYSAŁEM CIĘ...

Wykołysałem cię wśród fal
Mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną,
Śniłem cię cichą i pogodną — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
Gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
Byłaś mi, dziewczę, tak jedyna — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

Wkoło szumiały smreki w dal
Jakiś modleniem cichem, wiecznem — —
Byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

MIŁOŚCI OWE...

Miłości owe, o których tak mnogo
Słyszałem w życiu — kędyż one są?
Ja nie pamiętam, nie baczę nikogo,
Przeszedłem może kiedy czyją drogą,
Ale nikt drogę nie przestąpił mą.

Jednej kobiety nie zostawiam w drodze —
Są jakieś cienie, czy też były — cóż?
Z dziewiczem sercem żywot mój przechodzę,
Albom je oddał gwiazdom, gór śrzedzode,
Szumowi lasu, wodzie, schodom zórz...

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,

Niech będzie Chrystus pozdrowiony!..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawnych drogach,
Zaduma polna, osmętница...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżycza...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy błada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą.
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...

Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy z dala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą.
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dałą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonał ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swoim złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą.
I swoje losy klnie straszliwe,

Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwizdże koło niej wiatr i tańczy —
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swe ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!...



JULJAN TUWIM.

Ur. 1898 r. w Łodzi.

Ż Y D Z I.

Czarni, chytrzy, brodaci,
Z obłąkanemi oczyma,
W których jest wieczny lęk,
W których jest wieków spuścizna,
Ludzie,
Którzy nie wiedzą, co znaczy ojczyzna,
Bo żyją wszędy,
Tragiczni, nerwowi ludzie,
Przybłądy.

Szwargocą, wiecznie szwargocą,
Wymachując długimi rękoma,
Opowiadają sobie jakieś trwożne rzeczy
I uśmiechają się chytrze,
Tajnie posiedli najskrytsze
Z miljarða czarnych, pokracznych literek
Ci chorzy obłąkańcy,
Wybrany Ród człowieczy!
Pomazańcy!
Pogładzą mokre brody
I znowu radzą, radzą...
— Tego na bok odprowadzą,
Tego wołają na stronę,
Trzęsą się... oczy strwożone
Rzucają szybko przed siebie,
Czy kto nie słyszy...

Wieki wyryły im na twarzach
Bolesny grymas cierpienia,

Bo noszą w duszach wspomnienia
O murach Jerozolimy,
O jakimś czarnym pogrzebie,
O rykach na cmentarzach...
...Jakaś Szatańska Msza,
Jakieś ukryte zbrodnie
(...pod oknami... w piątki,... przechodnie...
Goje... zajrzą do okien... Sza! Sza-a-a!)



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

Ur. 1894 r.

TYLE JEST WE MNIE...

Tyle jest we mnie bajecznej pogody,
I tak szaleństwem mam głowę nabrzmiałą,
I taki jestem rozlewny i młody,
Że mi już miejsca jest wszędzie za mało.

Wichr jeździ ze mną naokoło świata,
A serca mego złoto jest ze słońca,
Każda ma lekka myśl gdzieindziej lata,
I cały jestem bez dna i bez końca.

Niepowstrzymany i rozpromieniony,
Jak elektryczność, jak piorun wichury,
Szukam gdzieś jakiejś piątej świata strony
Dla mej wysokiej, szerokiej natury.

Nadmiar przelewa się, jak szczęście, we mnie,
Po krwi ugania strugą oszalała
I ujścia pragnie w mem sercu daremnie!
Samemu mnie jest już siebie za mało!

Moja poezja, jak wino, musuje,
(Niech i wam głowy zaćmi i zaprószyl!)
A wiersz mi każdy ze snów wyskakuje,
Jak srebrny korek mej szampańskiej duszy.

Pijany jestem, zataczam się w drodze,
Rozpycham niebo, trącam świat łokciami —
I bohaterskim tenorem zawodzę
Prym w głównej arji śpiewanej chórami.

Bo która gra jest od życia piękniejsza
I szczęśliwszego cóż jest ponad życie,
Co w swojej pełni do serca się zmniejsza
I olbrzymieje do słońca w zenicie?!

Różne, wszechmocne, cudowne, szalone,
Życie bez nazwy, bez dna i bez końca,
Niepowstrzymane i rozpromienione,
Jedyna prawda wszechobejmująca!

Wystrzelaj serce! Niech się rozpanoszy,
Rozhula śmiech twój i niech krew skrzydlata
Tryśnie z pod ciebie na orgję rozkoszy,
Szampański korku piątej strony świata!

W O J N A.

Zaczniesz się późną nocą, gdy tłum przed parlament
Nadciągnie z pochodniami, czarny i wspaniały,
W marsyljankach, wiwatach wybuchniesz, jak zamęt,
Kobiety będą w bramach płakały.

W ciężkim, okutym przemarszu piechoty
Głucho zadudni po bruku twa stopa,
A pod nią zadrży w stolicach siedząca
Europa.

Po dniach triumfalnych, fatalnych,
Wyszczują cię z metropolji
I tylko ranni w pociągach szpitalnych
Poczuja jak boli.

Aż raz na miasto z uśmiechem głupim
Patrzące na mapy w oknach księgarni,
Powiejesz nagle zapachem trupim,
Trądem męczarni.

Blade stolice opadnie neuroza
I pod nogami usunie się grunt,
To ulicami przejdzie groza
I zatupoce bunt.

I stosy na rogach czerwone zapali,
Pochodnie nad czarną mszą,
Aż świat się z łoskotem u stóp twoich zwali,
Trup umazany krwią.



WACŁAW WOLSKI.

Ur. 1867 r. w Płockiem.

ŚNIJ, DROGA...

...A niechaj ci się we śnie kraj marzeń rozzłoci
Tęczowych, brylantowych, gdyby szronu kwiaty...
I niech ujrzą twe oczy czarownych widm światy,
Gdyby lśniące Sezamy pod kwiatem paproci...

Morze pereł, szafirów, złociste makaty,
Grody z kości słoniowej... A oczu błysk koci
Ćmy Shyloków nie zdołałyby przejrzeć tych kroci,
Ani zważyć bez błędu brylantów karaty...

Śnij baśń złotą, legendy tęczowe... Śnij, droga...
Niech przeczyste twe tchnienie ulata do Boga,
Unoszone na skrzydłach śnieżystych, anielich...

I niech spali mi serce płomienna pożoga,
I niech w uścisk lodowy mnie chwyci śmierć sroga,
Zanim do dna wychylę nieszczęsny ten kielich.

RONDO MIŁOSNE.

Nad starym, włoskim pochyłona murem,
W ciszy laurów tych, nie mówiąc nic,
Wtula złociste chryzantemy lic
W róż płomieniącą magiczną purpurę...
Niby tajemna, grecka, złota Psyche,
W geście tym składa mi wyznanie ciche,
Nad starym, włoskim pochyłona murem...

Nad starym, włoskim pochylona murem,
Z cegieł, co pleśnią, jak emalją, lśnią,
Patrzy przed siebie czarnych oczu mgłą,
Jak urzeczona tym boskim lazurem,
Pełna florenckch fioraj gentilezzy,
Jakiejś tajemnej zadumy kobiecej,
Nad starym, włoskim pochylona murem...

Nad starym, włoskim pochylona murem,
Co się rozpada zwolna w czarny gruz,
Cicho zastygła w najcudniejszej z pól,
Której złocistym jestem trubadurem.
Na tle lazuru śni ma ukochana
W róż słodkiej woni, jak Wenus Tycjana,
Nad starym, włoskim pochylona murem...

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Ur. 1869 r., zm. 1907 r. w Krakowie.

Z „KAZIMIERZA WIELKIEGO”.

(Fragmenty).

LXXV.

Po jakiejś wielkiej pożarnej ofierze
i wielkiem dusz zatraceniu
przyszedłem; — gdy pobory swoje bierze
Nędza, całemu władna pokoleniu.
I rany te serdeczne jeszcze świeże
i przerażenie to straszne w sumieniu.
Więc złorzeczyłem, więc bluźniłem Niebu,
wyczekujący w jękach dnia pogrzebu.

LXXXI.

W kościele, w katedrze, przed trumną Świętego
grobowa moja korona,
świat złoty i berła kawałek kruchego,
na ołtarz położona.
Lud idzie i szepcze: „dyjajema Jego,
spuścizna wywyższona”.
Szkarłatem święty stół pokryty,
stróżami srebrne monolity,
a trumna im więźnie w ramiona.

1. Więc patrzą zdziwione,
trumieniskiem zgarbione
Anioły te boże jaśniające.
2. Skąd przyszła korona,
czy z grobów zwleczona
na ołtarz, gromnice i Słońce.

3. A ludy, pielgrzymi,
w śpiew jeden olbrzymi
modły uderzą skarżące.
4. Więc słyszą Anioły,
jak zgodne we społy
w nich serca zabiły gorące.
5. Więc patrzą, słuchają
i silniej trzymają
trumnisko srebrne ciężące.
6. A w trumnie coś jęknęło
i wieko rozpękło
i blachy zachwiały się drżące.
7. Anioły przelekłe
zadrgały przeklekłe,
spojrzały po sobie znaczące.
8. Więc silniej dzierżęją,
Więc lękna, truchleją,
bo rosna szelesty straszące.
9. Więc silniej trzymają,
więc palce wbijają
we srebro z ujęcia rwące.
10. Więc siły wciąż mnożą,
a z ócz, co się trwożą,
łzy wielkie im spadły błysnące.

LXXXII.

Nareszcie przyszedł, południem upalny,
słonecznych skwarów ów dzień — Ludem rojno.
Sejm, jak zórawni, odprawiali walny;
gromadni, — jak przed jaką wielką wojną;

na ten mój pogrzeb zszedłszy, tłum proszalny,
co mię zbiegł darzyć łez objatą hojną.
Nad miastem padło posępne milczenie.
Snuły się ludy żałobne, jak cienie...

LXXXIII.

ciche, — jak owe cienie elizejskie,
już modlitwami nawet nie szemrzące;
jeno pół-usty szeptaając swe wiejskie
chorały: — duchem wzniesione, marzące.
Już moje władztwo widzę czarodziejskie:
Czujni, — już teraz tylko berłem trączę...
a ockną się na duchu przetworzeni...

.
Oto już łuna stok zamku rumieni:

1. Idą posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne.
2. Idą posępni,
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące jak ołów,
korony szerniałe
pogrobne.
3. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne.

4. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
podniebne.
5. A śpiewy nad nimi,
jak skrzydła Aniołów
kołyszą się górne,
wróżebne.
6. A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.
7. I chłopcy sukmanne
i panny strojone
w ponsowe żupany, delije.
8. I dziewczki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lelije.
9. A idą żałobni,
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni,
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wiją
to jaśnia, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

12. A oni posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne.
.
.
.
.
.
.
.
.
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarżą, —
Czyli łąki i łąny się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
14. Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
15. Za orszakiem, — czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łąny już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją,
za orszakiem, czy to lasy już idą...
czyli pszczelne roje tak brzęczą
za orszakiem, — czyli ziemie tak jęczą?.
16. A idą żałobne,
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne,
wnuczęta moje pogrobne.
17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
wróźebne...
- .
.
.
.
.
.
.
.

HYMN
VENI CREATOR
NARODU ŚPIEW
DUCHA ŚWIĘTEGO
WEZWANIE

CZYLI

W SEJMOWEM KOLE
W ŚWIĄTYNI ŚWIĘTYCH
W KATEDRZE
W GROMADZIE GMINY
W ZBORZE PRACUJĄCYCH
W HUFIE ŻOŁNIERZY
W POLU NA ROLI
W DOMIE
W ZAGRODZIE RĘKODZIELNIKA
WE DWORZE W PAŁACU W ZAMKU
W CHAT OKOLU
JAK RZEK STRUMIENIE
OD PONIKÓW GÓR
PO WÓD ROZTOCZE
WE WICHRZE W PROMIENIU W GROMIE
W ORCE
PRZY ZIAREN SIEJBIE
JAK MOWA SIĘGA

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch,
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrosli wraz.
Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszzechmogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdrój żywy, żar.

Zbróј nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszczы blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.
Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapal z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męzki ton.
Odwołaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.
Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznан Syn,
zwól w Tobie Światłość światu dać,
zwól z Wiarą wieków podjąć CZYN.

BOLESŁAW ZAHORSKI (BOL. ZYGM. LUBICZ).

WARSZAWA.

Tyś jest wielka, najwyższa dzwonnica!
Kto budował Cię, rękę miał silną,
Iśnią Krakowa z zachodu Ci lica,
Jak na dłoni masz Poznań i Wilno!
Widzisz — dola ich szczęsna, czy krwawa?
A na imię Ci Wolna — Warszawa!

Strzegłaś, oto, spokoju tych granic,
co to wróg chciał zdradziecko pustoszyć;
Biłaś w dzwony — powstawał wnet szaniec —
Huf orężny szedł wrogów twych płoszyć,
W głąb ich krajów orężna szła Sława,
A na imię Ci było — Warszawa!...

Aż ustały w czujności raz dzwony
i podarto kraj cały na strzępy.
Długo, długo krwi lał się czerwony
potop — w piersi pozostał ból tępy.
Dziś milczenie Cię wielkie napawa,
Tyś dzwonnica bez dzwonów — Warszawa!

Lecz Twe serce przeżyło sromotę,
lecz Twa duma przeżyła niewolę,
powtarzałaś przysięgi Twej rotę,
że wymażesz złe piętno na czołe,
że wzwyż sztandar podniesie Twa Sprawa,
że Tve imię wciąż jeszcze — Warszawa!

I rozbłysły tak wielkie pioruny,
że znów widzisz i Poznań i Wilno.

Możesz mieczem rwać więzy i runy,
ciosać dłonią orężną i silną...
Uderz w dzwony! Daj hasło!... A żwawo!
Cały kraj na to czeka, Warszawo!

Ha! Ty milczysz? Przykuta bojaźnią
do hucznego Twych wrogów rydwanu — —
Każdy dzień rozpoczynasz swój kaźnią,
Wieczór... kornie przynosisz dań panu...
...Błyśnie świt — Twoich wrogów zabawą
dzień się iści... niewolna — Warszawo!

Ale wiem... łzy przekujesz na miecze!
Miecz szczęk może podobny dać dzwonu.
Wichr na zgłiszcza dźwięk wokrag rozwlecze
dumnę, godność ochroni od zgonu...
Sztandar wznosisz! To hasło łni: — „Sława!”
Tyś znów sercem, dzwonnica — Warszawa! ,

BALLADA

o drugim Powsinodze beskidzkim śklarzu, o nieoślonej Farze,
wreszcie o oczach śklanych, patrzących w serce i wieczność.

*— ślą się ślone okna
w pozórkę i burzę —
zielne życie dołem
modre życie wzgórze —*

*— zapodziane wieści
paprotnych okwieci —
wyczytują mrozem
na tych szybach dzieci —*

*— szyby na górce
szyby na dolinie —
przeszłość w was podzwania
przyszłość ku wam płynie —*

— przez gościńce rozkiśłe
przez miedze chlupotne
popod chmury nawisłe
niesiewne kłopotne —
z zbyrkiem śklanych rupieci
ramą przygarbiony
idzie z wczora z stuleci
w te beskidzkie strony
brat śklarz —
w drucianowem kamractwie
pogodzony zimą
wiesną wraz z przetczyną
przez granice dymu
ranną godziną
brat śklarz —

— — łokna śklić — ło — kna
 — ramo ciężkie taflami
 podziwojcie sie sami —
 — tafle szklane zbyszczące
 na to słońce patrzące —
 — torba z kitem parciano
 szyszczyszcie sie w mgie bez rano —
 — hojdo sie ba nienowyy
 przycinac djamentowyy —
 — gwoździe, obczęgi, młotek
 młotek płaski stukotek —
 wszystko cały inwentorz
 wlecze se szklorz na szmętorz
 na te księżom obore
 ka zdo kosteckie chore
 ka zdo głowy łysinę
 i tę serca przewinę
 , ze nie zaślili w swem dziele
 okien w fornym kościele
 , ze nie zaślili nie dockoł
 ino w wilje z tą nocką
 bezjutrznianą se odszed
 tam gdzie doszed skąd doszed —
 haj kościele nieślklony
 sybami niebroniony
 cemuzesz sie nie zwieńczył
 pirwi nimek sie zmęczył. —
 — a jo cekoł na ciebie — —
 — — szklana tafla broni
 szklana tafla chroni —
 napsaurok sybie
 co w nocy zadzwoni —
 — tak se myśli idący
 kaślący skrzykujący:

— — łokna śklić — ło — kna

juz sie bez babiągóre
ku makowu zwalił
w ośmi wsiach i trzok miastach
Panaboga kwalił —
ka zased wroz go ludzie
rwiom kazdy ku sobie
ledwie ze ta nadązy
zmykającej dobie — —

— — sybki moknące dyscem
a wiatrem susone —
spozierojciez ciekawo
w którym ide strone —

— a tu — przejdzie bez łazek — ●
— zaśkljcie mi obrazek —
— a tu — szyby dwie wprawcie —
— a tam — jedną zaprawcie —
— a tu — w stajni kwadracik —
— szkoda wyjmować gracik —

— moiściewy — ta zima —
ta sie dała weznaki
sprzały docna i zmarzły
zimniaki i buraki —
wichry dęły jak z miecha —
— haj — biednemu pociecha —
okiennice wyparło
zbereźnie zazbyrczło
szastprast — syby na ziemi
fajerecka za niemi
pięknie ładnie wiatr wybił
— dobra zeście zasybił — —

— — śkljcie mi sie sybki
jako płynne zycie —

jo Boga mieluje
a wy go widzicie —
— gwoździkami stuk stuce
cosik pod nosem mruce
— zzżit — tnie tafle djamentem
przymierzo nad pękniętem —
— zzżit — stuk — stuku — puk — puku —
kitem dokoła wiedzie —
— haj — no bieda tej biedzie —
— ale jakoś ta bedzie —
ino wiesna sie zleci
cas ta jakoś przeleci —
— dobrze mówią sąsiedzi —
— ano jakoś ta będzie —
— łostańcie z Bogiem —
— z Panemjzusem — •

—
— zbyrkło ramo sklarowe
na zgarbionym grzbiecie —
idzie sklorz niefrasowny —
tela syb na świecie
tela okien
haj —
— — łokna šklić — ło — kna —
— lećcie dzieci co ducha
sklorza zawołojcie
niech nom okno zaprawi
pieronem chybojcie — —
— — sybecki spod okapu
pacące na droge
wysedek se niom wcoraj
dziś wrócić nimoge —

— tak to — tak to — z tą wiesną
— tak to — tak to — nanowo —

brat druciarza śklarz owo
stary jak topola
idzie klechdą słowacką
przez ozimskie pola —
(— chałpy się tak rozlazły
jak mrowce w rok mokry —)
— ramo dźwigo na plecach
przygarbionych nieco —
znudzi się to dźwiganie
i śklarzowym plecocom —
— idzie — idzie — z pod krępki
spoziero dokoła —
ujrzy chałpy zebrane
z przywyku zawoła:
— — łokna śklić — ło — kna —
i zasiok na powtórkę
z umiarnym przyśpiechem
wkszy cy sie skróś obory
somokcącym echem:
— — łokna śklić — ło — kna —
— idzie dali — tu i tam
pobok chałup
dworskich bram —
— słońce grzeje
jak ta we dnie
już południe
wnet —
— czoło ściera —
— parzy grzbiet —
— śklorz nie trzpet —
— toć się zmęczy
sponiewiera
bezma milę już tak szed
— — świećcie syby słońcem
oliwnym kagangiem —

bym — dzisiok strudzony —
wrócił jutro rankiem —

— idzie —
— idzie — okna sklić —
ka sie ino chałpy modrzą
pod strzechą słomianą —
ka sie ino dworki bielą
ścianą pobielaną —
— — łokna sklić — ło — kna —

— psi szczekają kole bud —
— popod strzechą wilgny chłód —
— nie przysiadoj — juz cie woło —
tam na prawo za stodołą —
kapkę w lewo — baba stoi
— poćcie ku mnie moi-
ściewy —
— zbyrkło skliwo — podźwignon sie —
idzie — stare plecy gną sie —
losechą się podpiro —
wkłąsła wargą żuje dziaśła —
przed siebie spoziro —
idzie —

—
tak i przesed poranek
mo sie do obiadku —
siądźcie z nami do miski
pożywcie się dziadku —
— Bóg zapłać —

— popołedniu to samo co rano
roz pod ścianą farbioną
roz na grzbiecie ramo — —
— — skłą się szklane okna
w pozórzkę i burzę —

zielne życie dołem
modre życie w górze —

— ano w wieczór pod zachód
spoziero z pagoru —
a tak słońce se chodzi
po beskidzkim boru —
wałęso sie — zawadzo
krwawo o chojary —
już sie pali i iskrzy
nieboże bór stary —
każda gałąź liść każdy
igliwo sośniane
czerwienią rozmodlone
złotem rozśpiewane —
— a na rzece szerokiej
skroś szumnej doliny
każda fala się śmieje
do zorznej godziny —
każda fala się pieni
tęczą i szkarłatem
, że to niebem już płynie
i już poza światem
, że już nigdy nie wróci
ku szarości onej
przepadłej — a na wieki —
w pozórce czerwonej —
— aż tu zewsząd od chałup
zpod strzech zasłuchanych
patrzą czerwone oczy
oczy okien szklanych —
patrzą czerwone oczy wejrzeniem wieczyste
tak jak Ty w serca patrzysz miłujący Chryste —
cały beskid stądtela widny jak na dłoni
tą pożogą ocz szklanych patrzy się i płoni
i purpurzy kościelnie jak ogrójec boży

podniesieniem miłosnem rozżagwionej zorzy —
— sklarzu — sklarzu wędrowny
cichy i niemowny
temu patrzeniu zdalny
oknom nieodzwony
nienapatrzony syto
zpod okapu ręki —
twój to cud te chałup oczy
i twojej udręki — —

— — szyby na góręccze
szyby na dolinie —
przeszłość w was podzwania
przyszłość ku wam płynie —

— sklarzu — sklarzu wędrowny — bracie powsinogo
niosący szklane serce tą beskidzką drogą —
serce szklane przewidne w którym błękit mieszka
— błogosławiony barłóg chleb twój i twa ścieżka —
błazsko płaci świat tobie — zarobek twój marny
chleb se ta wypracujesz jak twe dłonie czarny —
— lecz jak zemrzesz — jeśli zemrzesz
tam na grapie świata —
za piecem u Panaboga
natkniesz się na brata —
— święcipańscy białodziani
wezmą cie do siebie —
czasem cie ta ino posłą
okna sklić na niebie —
bo to wiecie panieświęty
kie chmury przemokną
jak ta płachta pięknie pękna —
i robi sie okno.
wprost do nieba
ka króluje Marjamatka boża —
żeby grzyśni niepatrzeli

potrzebuję szklarki —
— weźmiesz szklarki lazur z tęczy
bożącej przed chrząm
przytniesz gwiazdą brylantową
i wprawisz w chmur ramię — — —
— — — bośmy ta wszyscy
grzyśni choć nie wymawiający
krześcijany — — —



JERZY ŻUŁAWSKI.

Ur. 1874 r. w Limanowskim.

DO MOICH SYNÓW.

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legjonami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, da nam to Bóg,
że spadną wreszcie kajdany z nóg,
i nim wy męzkich dojdziecie sił,
jawą się stanie, co dziadek śnił:
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
nie dał zejść zorzy z krwi naszych ran:
to jeszcze w waszej piersi jest krew
na nowy świętej Wolności siew:
i wy pójdziecie, pomni spuścizny,
na bój dla naszej Ojczyzny!

POWRÓT.

Powróciłem do ciebie, ziemio ojców droga,
jako żoraw z podróży. O! przyjm mnie na łono,
utul głowę burzami i wichrem zmęczoną,
ty, przystani ma cicha i nad wyraz błoga!

Ziemio ojców! jak dziecię skarżyć ci się będę,
żem zatęsknił za tobą na szerokim świecie,
pragnąc ujrzeć twe łąny, twoje wonne kwiecie,
słyszeć szumy potoków i borów gawędę...

Nieraz usta, zatrute klątwą, zaryczały,
nieraz serce w zwątpienia noc padało ciemną,
ale gwiazdę przeczucia świętą i tajemną
jam przechował i chronił, jako skarb swój cały. •

Chociaż usta bluźniły, chociaż krew się z serca
wylewała i skrzydła pękały w piorunach,
choć wicher dziką rozpaczą grał w mej duszy strunach,
a wtórował mu jękiem gorzki śmiech-szyderca,

choć wiele straciłem: w duszy kiedys na dnie
pozostała nadzieja, gwiazda ma przewodnia!
Wierzę, że nie ostoi się na świecie zbrodnia,
lecz przed słońcem miłości kiedys w proch upadnie!

I z tą wiarą powracam na twoje zagony,
ojców ziemio kochana! Twe ożywcze tchnienie
wciągam w siebie, najczystsze z wszystkich upojenie,
nim mi przyjdzie odlecieć znowu w świat zamglony...

BIBLIOTEKA
PRUS-WIŚNIEWSKICH
Nr. _____

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
ADAMOWICZ BOGUSŁAW.	
Ukołysana	7
BOY (TAD. ŻELEŃSKI).	
Markiza	8
BUKOWINSKI WŁ. (SELIM).	
Rycerze	11
BUNIKIEWICZ WITOLD.	
Raport	12
BRZOZOWSKI KORAB ST.	
Łkają przeciągłe dzwony nieszporne	15
BRZOZOWSKI WINCENTY.	
Hymn	16
DANIŁOWSKI GUSTAW.	
Sonet	17
Piosenka	17
DĘBICKI ZDZIŚŁAW.	
Trzy hasła	20
W ogrodzie klasztornym	21
Mojemu pokoleniu	21
DŁUGOSZ ST. (TETERA).	
Wyznanie wiary	23
EJSMOND JULJAN.	
Romanca o miłości	24
IIŁAKOWICZÓWNA I. K.	
Badyle	27
Ikarowe loty	28
JANKOWSKI JÓZEF.	
Nie dziw się temu, pani	29
Po tylu latach	29
Twa pierś cudna	29
JEDLICZ JÓZEF.	
Pieśń pożegnania	31

KASPROWICZ JAN.	Str.
A może?	33
Z „Księgi ubogich”	35
. Święty Boże! Święty Mocny!	37
KLESZCZYŃSKI ZDZISŁAW.	
Księżę	43
KOZIKOWSKI EDWARD.	
Zejdźcie z Djabłaka	46
Na przełęcz Babiogórskiej	46
KOŚCIELSKI WŁADYSŁAW.	
Z „Tercyn”	48
LANGE ANTONI.	
Z „Rozmyślań”	50
Solveig	51
LEMAŃSKI JAN.	
Bajka o rybaku i rybaczce	58
Żal	60
LECHON JAN.	
Mochnacki	61
LEŚMIAN BOLESŁAW.	
Zielony dzban	64
LESZCZYŃSKI EDWARD.	
Evive!	66
LIGOCKI EDWARD.	
Ognie Werony	67
MAKUSZYŃSKI KORNEL.	
Zdrada	68
Pożegnanie	68
MAŁACZEWSKI-KORWIN EUGENJUSZ.	
Mogiłom archangielskim i murmańskim	70
MARKOWSKA MARJA.	
Siewy	72
MACZKA JÓZEF.	
Przysięga	74
Ranny	75
Kiedyś	76
MICIŃSKI TADEUSZ.	
Kain	77
Lucyfer	78
Ananke	78
MIRANDOLLA F. (FRANCISZEK PIK).	
Co dusza wyśni	80
Łódź Akkadów	80
MILASZEWSKI STANISŁAW.	
Wzrok wbiłem...	82

	<i>Str.</i>
Niepotrzebny kościółek	82
Dzieci w ogrodzie	83
MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI).	
Negli occhi porta la mia donna amore	84
Ogień święty	85
NALEPIŃSKI TADEUSZ.	
Król-zbrodniarz	88
NAWROCKI WŁADYSŁAW.	
Ronda	92
NIEMOJEWSKI ANDRZEJ.	
Branka	95
NOWICKI FRANCISZEK.	
Towarzyszowi podróży	100
ORKAN WŁ. (SMERCZYŃSKI).	
Inter arma	101
Marsz strzelców-legjonistów	102
Łąki i kwiaty moje	103
OR-OT (ARTUR OPPMAN).	
Za kroplę mojej niemieckiej krwi	104
Uliczna piosnka	105
OLSZEWSKA JANINA.	
O zabitym żołnierzu	107
OSTROWSKA BRONISŁAWA.	
Królewicz Maj	108
Z motywów ludowych	109
PIETRZYCKI JAN.	
Upojenie	112
RELIDZYŃSKI JÓZEF.	
Rota	113
RUFFER JÓZEF.	
Pies	115
RYDEL LUCJAN.	
Prometeusz	116
Przed oczy Twoje, Panie	116
Bajka o Kasi i królewiczu	118
RYGIER LEON.	
Spotkanie	123
Nie wolno mi o tobie śnić	126
SAVITRI (HANNA ZAHORSKA).	
Inwokacja	128
SCHROEDER ARTUR.	
Cmentarz	129
List	129

	Str.
SŁONIMSKI ANTONI.	
Żal	134
SŁOŃSKI EDWARD.	
O tem, jak się spowiadał Hołoda	135
SMOLARSKI MIECZYŚLAW.	
Wiatr halny	140
STAFF LEOPOLD.	
Kowal	141
W mroku	141
Zorza zachodnia	144
STODOR ADAM.	
Pogrzeb żołnierza	149
STERLING WŁADYSŁAW.	
Hymn żałobny	151
SZCZESNY ALEKSANDER.	
Liryka	153
TESLAR JÓZEF ANDRZEJ.	
Pogrzeb szpitalny	155
TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ.	
A kiedy będziesz moją żoną	156
Wykołysałem cię	157
Miłości owe...	157
Na Anioł Pański	157
TUWIM JULJAN.	
Żydzi	161
WIERZYŃSKI KAZIMIERZ.	
Tyle jest we mnie...	163
Wojna	164
WOLSKI WACŁAW.	
Śnij, droga	166
Rondo miłosne	166
WYSPIAŃSKI STANISŁAW.	
Z „Kazimierza Wielkiego” (Fragmenty)	168
Hymn Veni Creator	173
ZAHORSKI BOLESŁAW (BOŁ. ŻYGM. LUBICZ).	
Warszawa	175
ZEGADŁOWICZ EMIL.	
Ballada	177
ŻUŁAWSKI JERZY.	
Do moich synów	186
Powrót	186

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 314941



000-314941-00-0